

Mecenas wydania
BURMISTRZ GMINY I MIASTA ODOLANÓW
Marian Janicki

LEGENDY
WIELKOPOLSKI

LEGENDY
WIELKOPOLSKI

Szanowni Państwo,

zastanawialiście się, co odróżnia legendę od mitu, bajki czy baśni? To właśnie jej związki z wydarzeniami i postaciami historycznymi, a także z realną topografią. Legendy nie mają zbyt dużej wartości dla badaczy historii, były wzbogacane o elementy fantastyczne i odchodziły od realizmu oraz obiektywizmu. Autentyczne wydarzenia często koloryzowano i przekłamywano – zwiększano ich wagę, a często zmieniano kolejność wypadków. To warto wiedzieć, lecz w każdej z legend jest ponoć jedno, a czasami wiele ,,ziarenek prawdy", i o tym też należy pamiętać.

Jestem zaszczycony, że mogę Was zapoznać z legendą o Odolanowie, o mieście, które kocham, w którym żyją dobrzy, pracowici ludzie. Malowniczej zielonej krainie wypełnionej łąkami, torfowiskami i rzekami, z Parkiem Krajobrazowym Dolina Baryczy, który oferuje wiele możliwości aktywnego spędzana wolnego czasu.

Każdego dnia w pracy, chociaż na chwileczkę przenoszę się w bardzo odległe czasy, spoglądając na rycerza Bartosza Wezenborga herbu Tur. Piękny, okazały obraz autorstwa prof. Tadeusza Gaworzewskiego zdobi centralną ścianę mojego gabinetu. Wielkie chłopisko o rudych włosach, w ciężkiej zbroi, z mieczem w lewej dłoni i z tarczą ze współczesnym herbem Odolanowa. Za nim zarys murów wielkiego zamczyska. Tak widzi bliskiego współpracownika króla Kazimierza III artysta malarz. Bartosz z Odolanowa to postać historyczna. W 1369 roku otrzymał miasto Koźminek, między rokiem 1370 a 1372 dobra w Gostyniu i Odolanowie. Nasze miasto prawdopodobnie w 1373 roku samowolnie lokował.

Czy legendarny Odolan był do niego podobny? A może właśnie Bartosz posłużył opowiadającym legendę za zdolnego w młodości czeladnika, a następnie dzielnego woja? Piękna to opowieść o mieście nad Baryczą, o terenach, które już wiele wieków temu interesowały ludzi i przyciągały osadników.

Opowiadana z pokolenia na pokolenie historia zaczyna się od pewnego stolarza o ,,złotych rękach" imieniem Teoś, który z kawałka drewna potrafił wyczarować dosłownie wszystko, ale zapragnął zostać rycerzem. Są rycerze Janko i Władysław, jest oczywiście król, jest walka i zwycięstwo oraz wspaniała nagroda dla młodego rycerza-czeladnika.

Nie mogę we wstępie zdradzać wszystkiego, dlatego zapraszam do przeczytania legendy „O rycerzu Odolanie", a w wolnej chwili do odwiedzenia miasta i Ziemi Odolanowskiej. Gdy spojrzycie na herb naszego miasta, zobaczycie, że brama, która na nim widnieje, jest otwarta. To symbol otwartości i gościnności mieszkańców. Tak jak wieki temu, legendarny rycerz chętnie witał w progach przybyszy, tak i teraz goście w Odolanowie są zawsze mile widziani.

Do zobaczenia!

Marian Janicki

Burmistrz Gminy i Miasta Odolanów

SPIS TREŚCI

4 CO SIĘ STAŁO Z ŻERNICKIM KOŚCIOŁEM (BLIZANÓW)

8 O KOŚCIELE NA PÓLKU (BRALIN)

12 KSIĄŻĘ MIESZKO I I PEWIEN ŻUBR (BUK)

17 ORLE GNIAZDO (GNIEZNO)

21 O GÓRZE ZAMKOWEJ (GOSTYŃ)

27 JAK CI ZATNĘ POD DUPINO, TO CI BĘDZIE JUTRO SINO (JUTROSIN)

32 JAK POWSTAŁY KACZORY

39 O PIĘCIU BRACIACH MĘCZENNIKACH (KAŹMIERZ)

44 SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA KOMORNIKI

50 O KOSTRZE, CO ZAŁOŻYŁ MIASTO (KOSTRZYN)

55 O BIAŁEJ DAMIE Z ZAMKU W KÓRNIKU

61 KRAJ I ANKA (KRAJENKA)

65 O GŁAZIE ANIELEWSKIM (KRAMSK)

68 GDZIE JEST KOT ALI? (KRASZEWICE)

72 O FRYWOLNYCH SIOSTRACH (LIPKA)

77 O GŁAZIE ŚW. WOJCIECHA (MIEŚCISKO)

82 JAK POWSTAŁ MIĘDZYCHÓD

87 ZAJĄC POD PRĘGIERZEM (MIKSTAT)

92 O RYCERZU ODOLANIE (ODOLANÓW)

97 JAK PNIEWY ZBUDOWANO

101 ZATOPIONE MIASTO PNIEWY

105 O POZNAŃSKICH KOZIOŁKACH

109 O NAZWIE MIASTA (ROGOŹNO)

112 JEZIORO ŻĄDAJĄCE OFIAR (ROGOŹNO)

116 O ZAŁOŻENIU RZGOWA

121 O HIERONIMIE I KAPLICY NA PUSZCZY (SOMPOLNO)

125 O PIĘKNEJ ACZ DUMNEJ KLARZE (ŚLESIN)

130 O STU WIATRAKCH (ŚMIGIEL)

135 O TRZCIANECKIEJ SARENCE

140 MAZURZY WIELEŃSCY Z PUSZCZY NOTECKIEJ (WIELEŃ)

145 O POKUTUJĄCYM WILKU (WILCZYN)

150 O CHCIWYM DZIEDZICU (WOLSZTYN)

155 O ZAŁOŻENIU WRONEK

158 O TYM JAK ŚW. WAWRZYNIEC ZATRZYMAŁ POŻAR (WRONKI)

162 O POWSTANIU WYSOKIEJ

1

BLIZANÓW

CO SIĘ STAŁO
Z ŻERNICKIM KOŚCIOŁEM

Dawno, dawno temu w pewnej małej wsi pod Kaliszem mieszkała rodzina Waliszewskich. Maciej – głowa rodziny – był szewcem. Jego żona Anna, jak każda kobieta w tamtych czasach, zajmowała się domem i wychowywaniem dzieci. Mieli dwóch synów. Chłopcy byli pomocni, często wyręczali ojca w obowiązkach. Jednak rodzina żyła dość ubogo. Często zdarzało się, że Anna nie miała co włożyć do garnka. Pomimo to byli szczęśliwi i kochali się bardzo. W ich skromnym domku zawsze było czysto i schludnie, o co dbała Anna. Maciejowi marzyło się, by zostać właścicielem wsi i mieć dużo pieniędzy. Niestety dobrze wiedział, że to marzenie jest nierealne.

Pewnego dnia do Kalisza dotarła wiadomość o przyjeździe wojewody. Starosta Henryk, gdy dowiedział się o wizycie, natychmiast ogłosił konkurs na najpiękniejszy podarunek, chciał bowiem dać wojewodzie coś wyjątkowego. Powitanie gościa miało się odbyć w nowo wybudowanym kościele w Żernikach. Po okolicznych wioskach szybko rozeszła się ta wieść. Do miasta zaczęli przyjeżdżać rzemieślnicy, udał się też i Maciej. Planował zrobić dla wojewody haftowane buty, a dla jego żony jakąś ozdobę. Waliszewski potrzebował pieniędzy na zakupienie potrzebnych materiałów. Przypomniał sobie



o pewnej czarownicy, która potrafiła prawie z niczego zrobić złoto. Wybrał się więc do babki, która mieszkała nieopodal sąsiedniej wsi, w brudzewskim lesie.

Gdy po paru godzinach dotarł wreszcie na miejsce, ciarki mu przeszły po plecach. Mieszkanie czarownicy było okropne. Szczury biegające pośród butelek z eliksirami i nietoperze wiszące na ohydnym haku – to nie był miły widok.

Babka nie lubiła gości i na widok Waliszewskiego wrzasnęła:

– Czego tu szukasz?! Wynocha mi stąd!

Jednak wrzask czarownicy nie przestraszył Macieja. Trochę drżącym głosem zapytał:

– Przyjechałem do ciebie, babko, po pomoc. Czy mogę wejść?

– Właź, jak już jesteś. No, myślę, że miałeś powód, żeby tu przychodzić. Mów, czego chcesz.

– Pewno słyszałaś o konkursie na najwspanialszy podarunek dla wojewody. Chciałbym zrobić buty dla niego, a dla jego żony może jakieś korale. Ale nie mam pieniędzy, żeby kupić skóry, materiały, ozdoby…

– He, he! I pomyślałeś, że ci pomogę. Nic za darmo, kochaniutki, a cóż to za nagroda będzie?

– Jeśli pomożesz mi i wygram, zostanę właścicielem mojej wsi…

– Aha! Mówisz – naszej wsi?

Waliszewski wzdrygnął się na ten warunek, ale pomyślał, że przecież stara baba nie przeniesie się do Żernik. Zresztą, może potem coś wymyśli.

– Pamiętaj, tylko pod takim warunkiem. Zdradzisz, a pożałujesz – ty i cała twoja rodzina.

Chęć zysku zaślepiła Macieja. Już nie myślał o czarownicy. Już widział siebie i swoich w pięknym dworze, i ludzi w pas mu się kłaniających.

– Co mi tam, zgoda!

– No to przynieś trochę liści dębu i krople złocistej żywicy z sosny rosnącej samotnie na polanie w głębi lasu.

Sporą chwilę zajęły poszukiwania polany, więc kiedy szewc wrócił do chaty, zmierzchało się. Zaraz potem babka kazała mu iść spać do komory, a sama zajęła się czarami.

Następnego dnia o świcie obudziła Macieja i dała mu pieniądze i paciorki z bursztynu, a nawet malutkie kawałeczki złota, żeby buty ozdobić.

Po powrocie do domu szewc, nic nikomu nie mówiąc, wziął się do roboty. Pracował dzień i noc, i jeszcze jeden dzień i noc, aż wreszcie prezent był gotowy. Kiedy żona zobaczyła cudowne skarby, strach ją obleciał.

– Taki skarb? Coś ty obiecał starej babce? – zawołała. – Przecież na pewno nie zrobiła tego za darmo!

– Nie martw się. Ona myśli, że się podzielę nagrodą…

– A ty?

– Przecież nie oddam jej naszej wsi!

Byli tak zajęci rozmową, że nie usłyszeli cichego świstu za oknem…

– Ano zobaczymy – szepnęła do siebie stara kobieta, która nagle i nie wiadomo skąd pojawiła się koło domu.

Rozstrzygnięcie konkursu odbyło się na rynku w Kaliszu. Wszystkie prace były znakomite, lecz musiała wygrać najpiękniejsza i najoryginalniejsza. Po długich naradach ogłoszono werdykt. Zwycięzcą został Maciej Waliszewski. Oczywiście „zapomniał" wspomnieć komisji o pomocy brudzewskiej babki.

Poczuł się Maciej panem i od razu zaczął się gospodarzyć w majątku. Przygotowywał się do wizyty wojewody. W końcu nadeszła upragniona chwila.

Przed kościół w Żernikach podjechała kareta, z której wysiadł wojewoda wraz ze swoją małżonką. Za nimi nadjechał orszak grodzkich rajców i różnych wielmożów. Maciej jako zwycięzca, wszystkich serdecznie przywitał i wręczył wojewodzie haftowane buty oraz przepiękną kolię z bursztynów. Już podawał naszyjnik, gdy wokół pociemniało, ziemia zaczęła się trząść… I nagle zza kościoła wyleciała brudzewska czarownica.

– Czy nie zapomniałeś o czymś? Uprzedzam, za zdradę zapłacisz! – na jej krzyk wszyscy zaczęli się cofać.

– Oddawaj coś mi winien, ty kłamczuchu! – krzyknęła do Waliszewskiego.

Babka stanęła przed nimi, cicho wymamrotała kilka słów i po chwili kościół zaczął się zapadać. Złapała jeszcze kolię, coś krzyknęła i znikła.

Biedny Maciej patrzył, jak kościół powoli zanurza się w piasku, a wraz z nim jego marzenia.

Na szczęście udało mu się uratować dwa obrazy i chyba swoją duszę. Jeden obraz znajduje się w kościele w Blizanowie, a drugi w Kaliszu. Miejsce, gdzie stał kościół, nazywają dzisiaj ludzie Czartowcem. A kolia? Czarownica zgubiła ją w drodze do brudzewskiego lasu. Wiele lat później odnaleźli ten skarb pruscy żołnierze, kiedy budowali drogę w Brudzewie. Teraz bursztynową ozdobę można zobaczyć w kaliskim muzeum. ♦

2

BRALIN

O KOŚCIELE **NA PÓLKU**

Jest takie miejsce w Wielkopolskie, do którego nie prowadzi żadna droga szybkiego ruchu. Są tylko polne szlaki i cudowny, taki sam jak przed wiekami, spokój. Dookoła rozciągają się pola uprawne, łąki, kępy krzewów i skupiska drzew – jedyni świadkowie upływającego czasu. Pośród łanów zbóż jest pole oddalone ponad półtora kilometra od centrum Bralina, od zawsze nazywane Pólkiem. Na nim właśnie wznosi się perła kościelnej architektury drewnianej – świątynia Na Pólku.

Wiele, wiele lat temu, pewnego słonecznego wrześniowego dnia, polną drogą wędrowało dwóch pielgrzymów: Franek i Antek. Podróż upływała im w milczeniu, bowiem obydwaj pogrążeni byli w cichej modlitwie. Wędrowali na uroczystości Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w sobie tylko wiadomej intencji. Jak wiele innych osób, przybyli na miejsce dzień wcześniej.

– O, widać już kościółek! – zagadał Franek i wskazał na ciemną budowlę, która ukazała im się na horyzoncie.

– Czy my się tam wszyscy pomieścimy? – zapytał Antek i przystanął na chwilę, aby przyjrzeć się ludziom, tak licznie zmierzającym w stroną kościoła.



– No pewnie! – uspokoił go kolega. – Kościół Na Pólku jest jedną z największych drewnianych świątyń w Wielkopolsce. Jego wnętrze jest imponujące. Może pomieścić dwa tysiące osób.

Franek co roku uczestniczył w uroczystościach odpustowych. Znał więc to miejsce dość dobrze. Antek pierwszy raz szedł na tak długą pieszą pielgrzymkę i choć nogi już go porządnie bolały, był bardzo podekscytowany widząc, że zbliżają się do kresu swej wędrówki. Chciał dowiedzieć się jak najwięcej o miejscu oraz o słynącym łaskami obrazie Matki Boskiej. Gdy zbliżyli się do podcieni, było tam już sporo osób. W sobotnie wieczory odprawiano w kościele nieszpory – czyli mszę rozpoczynającą niedzielne uroczystości – dlatego ludzie zaczynali powoli wchodzić do środka.

Antek i Franek podeszli do grupy pielgrzymów zajętych rozmową. Gdy okazało się, że mówią o historii świątyni, Antek jeszcze baczniej nastawił uszu.

– Jam słyszał – odezwał się właśnie stary Anzelm – że w XIII wieku sama święta Jadwiga się tu modliła. Prosiła Matkę Przenajświętszą o uwolnienie swojego męża, księcia śląskiego Henryka I Brodatego. I to właśnie po tym wydarzeniu odnotowano w tym miejscu pierwsze cudowne objawienia Matki Boskiej.

– Ano, może i to prawda co ty gadasz, ale ja wam powiem – zaczęła mówić Bożena – że Matka Boska sama chciała, aby jej obrazowi właśnie w tym miejscu cześć oddawano. U mnie w rodzinie mówi się, że obraz sam na pole pod Bralinem wędrował. W jaki sposób? Nikt już dziś nie pamięta, ale ludzie zaczęli się w tym miejscu modlić, więc postawili najpierw krzyż, potem kapliczkę, a w końcu kościółek.

– Nie zapomnijcie o cudownych uzdrowieniach – wtrąciła Danka. – Mnie babka mówiła, że w 1630 roku panowała tu straszna epidemia cholery, która zbierała śmiertelne żniwo w całej okolicy. Podczas tej zarazy dziesięcioro miejscowych modliło się o zdrowie za pośrednictwem Świętej Panienki. Przyrzekli, że jeśli ich ocali, to w podziękowaniu pomogą wybudować w tym miejscu większy kościół. I co? Wszyscy zostali uzdrowieni. Musieli więc zacząć kościół budować, ale na szczęście nie robili tego sami. Okoliczni mieszkańcy bardzo im pomogli, a najbardziej pewien kupiec imieniem Stanisław, który trudnił się przewożeniem soli z Krakowa na Śląsk. W czasie jednej z podróży on również doznał objawienia. W miejscu, gdzie dziś jesteśmy zobaczył świetlistą postać niewiasty – piękną, ubraną w długą, białą suknię, ze świetlistą aureolą nad głową.

Gdy oniemiały z wrażenia zorientował się, że była to Najświętsza Panienka, postać nagle zniknęła. Ale w kolejnej podróży zobaczył ją ponownie. Coraz częściej zaczął ją widywać również w snach. I co ciekawe, zawsze kiedy ją widział, interesy szły mu nad wyraz pomyślnie. W końcu nie miał już wątpliwości i postanowił na tym polu wybudować świątynię. Tak też uczynił. W 1711 roku staraniem kupca Stanisława Drabika na Pólku stanął drewniany kościół.

– A potem niespodziewanie pojawił się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem – zaczęła mówić znów Bożena. – Nikt nie wiedział skąd. Ludzie zastanawiali się, co z nim zrobić? Starsi stwierdzili, że pewnie ktoś go ukradł, dlatego zapakowali obraz na wóz i odwieźli do kościoła parafialnego. Ale niesforny obraz po kilku dniach znów „przywędrował" na Pólko. Powtarzało się to jeszcze kilka razy. Uznano to więc za znak, że cudowny obraz ma jednak zdobić wnętrze drewnianego kościółka. Łaskami słynący obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem umieszczono w głównym ołtarzu.

„To wszystko niezwykle ciekawe", pomyślał Antek. Nieszpory właśnie się zaczynały i tłum ludzi zaczął wlewać się do kościoła. Wśród nich był również Antek i Franek, którzy, po zasłyszanych opowieściach, nie mogli się doczekać ujrzenia cudownego obrazu.

Podobnie jak niegdyś Franek z Antkiem podróżowali pieszo do bralińskiego kościoła, tak i dziś wielu pielgrzymów zmierza do drewnianego sanktuarium. Od ponad 300 lat, mimo upływu czasu, budynek zachowuje swój niepowtarzalny charakter kościoła pielgrzymkowego i odpustowego. Uznano go za przykład wybitnego sakralnego budownictwa drewnianego i w 1993 roku parafii przyznano honorowy medal „Europa Nostra" za restaurację kościoła.

Zarówno urokliwa okolica, słynący łaskami obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem, jak i piękno świątyni Na Pólku każdego roku przyciągają coraz to nowych pątników. Wtedy można usłyszeć dawne pieśni śpiewane ku czci Matki Bożej Pólkowskiej:

„Tu pod Bralinem miejsce ulubiła,
I z wysokiego tronu tu zstąpiła,
Na tę tu rolę, bez zmazy poczęta
Panienka Święta, Panienka Święta". ♦

3

BUK

KSIĄŻĘ MIESZKO I
I PEWIEN ŻUBR

Działo się to dawno, dawno temu… bo tysiąc lat to dawno, prawda?
Na terenach, gdzie teraz rozwija się miasto Buk, rosła rozległa puszcza. Obszar na zachód od Poznania porastały wielkie bory bukowe. Ciągnęły się od Warty płynącej przez Poznań do terenów, na których dzisiaj leży gmina Buk.

Na dnie lasu niemal nieustannie panował cień. Pozwalało to bezpiecznie chronić się wielu małym i większym zwierzętom. Ryjówki, lisy, wydry czuły się tu dobrze. Mieszkanie w buczynie lubiły też sarny i dziki. Dobiegający skądś co chwilę odgłos łamanych gałęzi zapowiadał kroczącego niedźwiedzia. Jednak królem tej buczyny był żubr.

W tych gęstwinach niejedna ważna historia miała miejsce. To właśnie w okolicach Gniezna Polanie zakładali grody, które z czasem stały się początkiem naszego państwa. To o te ziemie toczono krwawe walki z Niemcami. To tu, można powiedzieć, Polska się zaczęła…

To przecież właśnie tu żył, sprawował rządy, mieszkał i polował Mieszko I, historyczny władca Polan i twórca naszej państwowości. Znamy tego sprawnego polityka, utalentowanego



i charyzmatycznego władcę z podręczników. Synom zostawił państwo co najmniej dwa razy rozleglejsze niż sam zastał. A dzięki przyjęciu chrztu świętego włączył swoje tereny do kręgu kultury zachodnioeuropejskiej.

A wiecie, jaki był ulubiony sport dawnych władców? Oczywiście polowanie! Zręczny dyplomata takie właśnie rozrywki również bardzo lubił.

Pewnego dnia książę postanowił tak:

– Dziś zapolujemy na dużego zwierza! Zawiadom drużynę. Niech się przygotują – polecił swojemu słudze.

Jaromir począł się zastanawiać: czy książę pragnie rozrywek, czy może jaką dalszą wyprawę planuje i zapas mięsa mu potrzebny? „Zaiste, pewnie będą to też ćwiczenia bojowe. Dla początkujących wojów takie łowy to świetne przeszkolenie przed prawdziwą potyczką. Tak czy owak, niechybnie szykować się trzeba", pomyślał Jaromir, wiedząc, że jako pierwszy wyruszyć musi.

Musicie wiedzieć, że łowy na sarnę, żubra czy tura różniły się od zwykłego polowania dla futer czy skór. Taka obława to był jakby sprawdzian. Testowano odwagę, wojowniczość i bezwzględność myśliwych.

Jaromir oraz Dalibór pognali przodem. Byli borowymi, to znaczy takimi łowczymi, którzy mieli za zadanie wytropić zwierza i ustalić miejsce polowania. Dopiero na ich znak władca oraz pozostali wyruszali do lasu.

Jechali już kilka godzin i nic! Nawet śladu jelenia.

– Ech, nie wiadomo, czy coś z tego dzisiejszego polowania będzie – zastanawiał się głośno Jaromir.

– Widzę go! To żubr! – zakrzyknął Dalibór. – Jest potężny. I jaki majestatyczny! Zwołam jeszcze kilku ludzi, poobalamy drzewa, tworząc przesieki.

Drzewa wnet przewrócono, łowczy próbowali zapędzić zwierza w wyznaczony teren. Nadjechał Mieszko z resztą wojów, ale żubr okazał się szybszy. Pomimo kolosalnych rozmiarów to potężne zwierzę było bardzo zwinne. Wymknęło się z zasadzki i popędziło pomiędzy drzewami, omijając drużynę.

– Dalej, za nim! – krzyknął Mieszko.

Kilkunastu myśliwych zawróciło konie i pognało za żubrem! Kurzawę zostawili za sobą okropną. Naprężyli strzały i takiego rumoru nieziemskiego narobili, że żubr zaczął płoszyć się i okropnie złościć. Sprowokowany śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem uciekał dalej, przez las, co sił w kopytach.

– Jest mój! – zawołał książę.

Już go prawie dogonił, już ostrze niemal wbił w grzbiet ofiary, ale żubr nie chciał dać za wygraną. Kręcił się, wyrywał, wył i rzucał na boki. Strzały go w końcu dosięgły i… padł na ziemię. Jednak księcia Mieszka tak te zmagania wymęczyły, że pod ogromnym bukiem przysiadł.

– To polowanie zupełnie pozbawiło mnie siły. Pozwólcie, że odpocznę tu troszeczkę – oznajmił swoim wojom i zasnął.

Minęła godzina i druga, a książę nadal spał. Drużyna zaczęła się niepokoić, że coś długo władca poleguje.

– Dobromił, idź go obudź – oddelegowali najmłodszego.

Młodzian podszedł do Mieszka i zawołał:

– Paaaanie, zbuuudź się!

Mieszko nie reagował. Podszedł bliżej, dotknął ramienia władcy – nic. W końcu spróbował go lekko potrząsnąć, ale Mieszko osunął się tylko bardziej na ziemię. Przestraszony zawołał wojów:

– Jaromir! Dalibór! Zali chodźcie tu szybko!

Przybiegli ile sił w nogach, po drodze podśmiechując się z chłopaka:

– Młody pewnie siły nie ma obudzić pana naszego! Ha, ha, ha! – kpili z niego.

Gdy w końcu dotarli i zobaczyli leżące na ziemi ciało księcia, uśmiechy zniknęły z ich twarzy. Sprawdzili tętno, oddech. Przeżegnali się. Jaromir zdjął nakrycie głowy i rzekł:

– Książę nasz i władca… nie żyje! Poległ pan nasz, co polskie państwo w posadach postawił, nas ochrzcił i na nowe drogi wprowadził. Najpotężniejszy z mężów i najdzielniejszy z wojów niech spoczywa na wieki tu pod tym drzewem. Niech Bóg, w którego uwierzył, zapewni mu spokój i ma go w swej opiece. *Requiem aeternam dona ei Domine, et lux perpetua luceat ei. Requiescat in pace.* Amen.

– Amen – zakończyli modlitwę wojowie pierwszego władcy Polski.



I tak, według podania, Mieszko I zmarł pod bukiem. Mówi się, że właśnie w tym miejscu, gdzie wznosił się buk, zaczął rozwijać się gród. Wpierw postawiono chatę, potem drugą i trzecią. Przed 1257 rokiem książę Przemysł II uroczyście uznał osadę za miasto. I choć jeszcze w XV wieku puszcza zajmowała rozległe okoliczne tereny, stopniowo, powoli ustępowała miejsca polom uprawnym. Miasto Buk rozwijało się i piękniało. Na przestrzeni lat podanie o tym legendarnym polowaniu wrosło w historię miejsca. Po dziś dzień drzewo bukowe, obok klucza św. Piotra, jest głównym symbolem w herbie miasta. ♦

4

GNIEZNO

ORLE **GNIAZDO**

Tu wszystko było pierwsze. Pierwsza stolica Polski, pierwsza metropolia kościelna. Koronowali się tu pierwsi Piastowie. Gniezno stało się stolicą młodego państwa, ośrodkiem rzemieślniczym i handlowym, a także ośrodkiem nowej wiary.

A jaki był początek samego Gniezna? Wiecie zapewne. Ale czy pamiętacie?

Gdzieś w dalekich stronach, być może w okolicy majestatycznego Dunaju, żyło trzech braci. Nazywano ich Lechem, Czechem i Rusem. Każdy z nich miał własne osady, zamieszkałe przez setki osób. Duże stada wszelakiego bydła na rozległych polach również były ich.

Kochali się bardzo, jednak nie zawsze zgoda pomiędzy nimi panowała. Być może dlatego, że każdy prezentował zgoła inne usposobienie. Najstarszy – Rus – rzadko zabierał głos, a gdy już to robił, musiał mieć do powiedzenia coś ważnego. Średni – Czech – nigdzie długo nie usiedział. Wszędzie było go pełno, a do tego był prawdziwie bystry. Najmłodszy za to – Lech – zawsze dążył do zgody. Dobrotliwy i spokojny nie raz stawał się rozjemcą w sporach.

Bracia mądrze zarządzali swymi dobrami. Dobytek rósł, ludności przybywało i w miejscu, gdzie wcześniej spokojnie wszyscy żyli, zaczęło robić się ciasno.

Spotkali się pewnego wieczoru i poczęli radzić:



– Moje krowy coraz mniej mleka dają – stwierdził milczący zazwyczaj Rus. – Nie ma ich już gdzie przeganiać, bo wszędy albo twoje, Czechu, albo twoje, Lechu. Jak dłużej tak będzie, głód nam zacznie w oczy zaglądać. Coś począć trzeba.

– Wyruszmy wespół i poszukajmy dla nas nowych ziem – zaproponował Lech. – Rozleglejszych i żyźniejszych. Gdzie zwierza pod dostatkiem, a woda rzekami spływa z gór aż do morza.

Spakowali się i wraz ze swymi plemionami opuścili ojcowiznę.

Byli w podróży już od wielu miesięcy. Tereny, nad które dotarli, porastały gęste lasy. W czasie marszu musieli przebijać się przez zarośla i grzęzawiska. Napotkane rzeki pokonywali w bród. Przemieszczali się w ustalonej hierarchii. Na samym przedzie, jeszcze przed pozostałymi, jechały zastępy wojów na koniach. Ich zadaniem było torować drogę, a w razie niebezpieczeństwa bronić pozostałych. Dopiero kilkaset metrów za nimi jechały wozy. Takie zwykłe, drewniane, ciągnięte przez woły. Siedziały na nich niewiasty oraz dzieci i starcy. Pomiędzy pasażerami upchany był cały dobytek: wszystkie sprzęty domowe, które dało się spakować, no i żywność. Za wozami pędzono stada jucznych koni, krów i owiec. Pochód zamykały zbrojne oddziały pieszych łuczników i oszczepników.

Szli dzień za dniem, na przekór wiatrom i deszczom. Na czele ogromnej kolumny ludu jechali wodzowie: Lech, Czech i Rus.

Pewnego ranka przeprawili się przez rzekę, łączącą łańcuch drobnych jezior.

– Odpocznijmy nieco, konie i woły są zmęczone. Ludzie też – sugerował Rus.

– Jeszcze chwilę. Zaraz znajdziemy odpowiednie miejsce – zachęcał go do marszu Czech.

Nagle puszcza przerzedziła się bardziej, między drzewami poczęły przebijać się promienie słońca, docierając aż do dna lasu. Bór skończył się jak ucięty siekierą. Oczom braci ukazała się piękna, rozległa dolina, usiana kilkoma niewielkimi pagórkami, poprzecinanymi przez jeziora i rzeki. Na najwyższym wzgórzu widniał potężny, stary dąb. Lechowi aż oczy zaiskrzyły się na widok tej uroczej krainy.

– Widzicie te rzeki?! Te jeziora? – wykrzyknął z zachwytem Lech. – Jak tu pięknie! Tu wody nam nie zabraknie, a na wzgórzach wznieść można fortyfikacje!

– Zaiste piękna to okolica – przyznali starsi bracia. – Odpocznijmy chwilę.

– Patrzcie, orzeł! – zakrzyknął Lech.

– Gdzie? – dopytywali bracia rozglądając się po niebie.

– Tam! – Wskazał na najbliższe jezioro, znad którego wzbił się w górę biały ptak.

W jego szponach szamotała się zdobycz, pewnie ryba. Kołował chwilę nad samotnym dębem, po czym usiadł na jego szczycie. Porywczy Rus już myślał o smaku ptaka pieczonego nad ogniem. Już porwał łuk i chciał strzelać. Wtem Lech położył łagodnie dłoń na jego dłoni i rzekł:

– Zaczekaj, mój bracie. Nie zabijaj ptaka. W koronie tego drzewa zapewne ma gniazdo. Ten orzeł jest ojcem swego rodu, tak jak my wodzami naszych plemion. Czy nie uważasz, że to sam bóg Światowid zsyła nam znak?

Tu wraz z moim ludem rozbiję namioty. Wokół tamtego dębu wzniosę gród książęcy, a ten oto orzeł biały będzie go strzegł. Jego podobizna od dziś zostanie moim herbem.

Wojowie i starszyzna ucieszyli się, słysząc, że nastał kres ich długiej wędrówki. Pełną piersią trzykrotnie zakrzyknęli:

– Hurrrra! Hurrra! Hurrra!

Tylko Rus zdawał się być nie w sosie.

– Bracie, co cię trapi? – zapytał go Czech.

Tamten zmarszczył swoje krzaczaste brwi i po namyśle odpowiedział:

– Piękna to jest dolina, obfita w wodę i zwierzynę. Drewna też nie brak. Ale spójrz na moich ludzi. Nas jest tak mnogo, jako ziaren piasku w tych jeziorach. Ta ziemia choć żyzna, nie wyżywi wszystkich.

Miał rację. Zwołano na wiec wojów i starszyznę rodów. Uradzili zgodnie, że Lech ze swym ludem zostanie w tym miejscu. Czech i Rus natomiast pójdą razem w dalszą drogę szukać dla swych plemion innych terenów. Nazajutrz, pożegnawszy się, Czech i Rus odjechali.

Tymczasem na rozkaz Lecha w okolicznej puszczy co dzień dudniły topory. Zaprzęgi zwoziły na wzgórze z orlim gniazdem potężne pnie dębowe, strzeliste sosny i twarde buki. Tak się spieszyli, tak starali, że gród książęcy stał, zanim jeszcze jesień zaczęła trącać liście z drzew.

– Od orlego gniazda nazwijmy go Gnieznem – oznajmił Lech.

Inni uważają, że wódz, pragnąc tam zbudować pierwszy dom, miał powiedzieć – „Zbudujmy gniazdo", dlatego miejscowość aż do dzisiaj zwie się Gniezno (czyli „budowanie gniazda").

Wyrosło Lechowe Gniezno na piękne miasto – miasto królów, miasto inicjatyw, dumne ze swojej wielowiekowej historii i związanych z nią zabytków. ♦

5

GOSTYŃ

O GÓRZE **ZAMKOWEJ**

Znacie dwie góry nieopodal Gostynia? Najbarwniej opowiadają o nich najstarsze mieszkanki Gostynia. Jedna z nich – Maryjanna, chętnie udzielała informacji każdemu, kto mijał jej chatę na zboczu góry.

– Zobacz – zaczynała. – Tu bliżej jest Góra Zamkowa, a tam dalej – Święta Góra. Są jak dwie siostry. Pierwsza przeklęta, a druga święta. Jedna budzi dreszcz i grozę, podczas gdy druga – nadzieję i miłość.

Jak twierdziła, związane były ze sobą nierozłącznie.

– Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze mnie na świecie nie było, na Górze Zamkowej wznosiło się zamczysko Przedpełków de Wezenborgów, dumnych panów gostyńskich – mówiła Maryjanna. – Dóbr mieli, oooo! Potąd! – przesunęła obrazowo ręką w okolicach czoła. – Wsie, miasta, wszystko należało do nich. Byli to możni panowie.

– A skąd mieli tyle pieniędzy? – pytali zazwyczaj słuchacze.

– Byli kasztelanami, wojewodami, rycerzami zasłużonymi w bojach. Takie pozycje gwarantowały spore dochody – tłumaczyła kobieta.



Tu nagle zamyśliła się:

– Kiedyś byli dobrzy... Fundowali klasztory, kościoły i przytułki dla biednych.

– A co? Potem już nie byli? – pytali słuchacze.

Wtedy Maryjanna marszczyła brwi i przybierała groźny ton głosu:

– Nastał czas, kiedy robak pychy i okrucieństwa, graniczącego z szaleństwem, zalągł się w zamczysku na górze podmiejskiej. I siał spustoszenie.

– Niech pani usiądzie – proponowali przechodnie, widząc jak wzbiera w niej gniew i jak robi się czerwona.

– Kasztelan Jan Gostyński to był pierwszy tyran! Ludność uciskał, mieszczan tropił, dobra kościelne grabił. O, heretyk jeden! – wypowiadając to cała się trzęsła. – A jeszcze gorszy był jego syn, też Jan, który pojął za żonę dziewczynę z piekła rodem, Annę Zborowską.

– Wiara? Ha, ha! – śmiała się do rozpuku Anna. – Dla ludu jest dobra. Precz z zacofaną wiarą! Zniszczcie wszystko! – rozkazywała. – Zniszczcie kościoły, świątynie figury, obrazy! U mnie na zamku będzie nowocześnie!

A ta jej nowoczesność to były orgie rozpustne i bluźniercze. Zlatywały się na nie stada szatanów z różnych stron świata. Chichoty, świsty i wycia rozlegały się po całych nocach. Wtedy to wszyscy zaczęli się bać Góry Zamkowej. Każdy ją omijał z daleka. Ale najgorsze... Najgorsze miało dopiero nadejść.

Pewnej nocy ludzi pobudziły nieludzkie skowyty. Mieszczanie z przestrachem otwierali okiennice:

– Co to za wrzaski dzikie? – pytali jeden drugiego.

– Hałas w mieście, jakby trąby piekielne grały! – narzekali wybudzeni ze snu ludzie.

To pan Gostyński Jan z Góry Zamkowej jechał na czele pijanej kompanii.

– Hajda! – krzyczał i wskazywał dłonią kierunek, w którym ma podążać korowód. – Na kościół farny! Świątynię zdobyć, ograbić i znieważyć!

Już, już dojeżdżali do fary, już rykiem podali sobie hasło do napadu. Wtem stał się dziw... Jak nie błysnęło światło z wnętrza świątyni! Jak nie rozgorzało wszystko jasnością! Organy pełnią swego brzmienia grać poczęły, otwarła się brama kościoła szeroko, a w niej stanął... upiór.

– To duch! Duch w całunie grobowym! – krzyczała przyjezdna zgraja.

– Ducha się boicie, głupcy wy jedni? – zagrzewał ich do walki Jan.

– To nie jest zwykły duch, Janie. To moc święta! – krzyczeli.

Faktycznie, zjawa w lewej ręce dzierżyła krucyfiks, a w prawej lśniący miecz.

– On nie jest sam! Uciekajcie! – nawoływali się kompani rozbójniczego orszaku. – Za marą tłoczy się gromada duchów, jemu podobnych! Jest ich cała armia! – przekazywały sobie coraz bardziej przestraszone głosy.

Tylko Jan zachował zimną krew. Ten zatwardziały heretyk nie bał się mocy świętych. Przetarł tylko oczy ze zdziwienia.

– Toż to mój brat rodzony z grobu wstał – wyrzekł powoli.

– Owszem. To ja, Mikołaj – wyrzekła zjawa. – Na czele wiernych stanąłem, aby dobra święte obronić. Zmień swoje postępowanie, bracie – namawiał.

Im dalej orszak duchów wysuwał się z kościoła, tym większy popłoch budził wśród najeźdźców.

– Aaaa!!! W nogi! – wrzeszczeli przerażeni.

– Tędy! – wołał jeden.

– Nie, tamtędy! – radził kto inny.

Porzucali wozy, pędzili w las, potykając się o siebie nawzajem.

– Prawdziwe piekło nawiedziło nas tej nocy – mówili rankiem mieszkańcy Gostynia.

Ale szatan nie dawał za wygraną i coraz to nowe pomysły mieszkańcom Zamkowej Góry podsuwał. Innej nocy powiódł ich na wieżę zamczyska i pokazał im Górę Świętą z kościołem Matki Bożej.

– To nie jest zwykła góra – mawiał lud. – Tam wysoko, Najświętsza Panienka wiele łask dla swych wiernych wyprosiła, wielu uzdrowionych z kalectwa zostało, a wszyscy umocnieni duchowo stamtąd wracają.

– Na Górę Świętą! – wołał Jan na czele kolejnego pijackiego korowodu.

Jego małżonka nie była lepsza.

– Ha, ha, ha! Wpuśćcie mnie tam tylko. Sama zajmę miejsce tej Świętej Panienki. Zobaczymy, kto do mnie pielgrzymował będzie – naigrywała się Anna.

Podobnie jak poprzednio, ze świstem i wyciem pocwałowali z Góry Zamkowej na Górę Świętą. Anna pierwsza wtargnęła do wnętrza. Furią szatańską gnana, zerwała z ołtarza figurkę Matki Boskiej Bolesnej z Jezusem na łonie i rzuciła swym pachołkom.

– Porąbać ją na sztuki! – rozkazała.

– A masz! A masz! Ja odetnę rękę! A ja głowę! – prześcigali się w bezlitosnej pomysłowości.

Ale co to? Figura ni drgnie. Drewno zdawałoby się, że kruche, a tu nic.

– Pani! – wołają Annę. – Niech pani przyjdzie. Znęcamy się nad tą głupią figurą, siódme poty wyciskamy, a ona nie chce dać się porąbać!

– Rozniecić przed kościołem wielkie ognisko – poleciła. – Spalić w nim figurę!

I oto nowy dziw uderzył najeźdźców. Zaledwie z ogromnego stosu buchnęły pierwsze płomienie i wzbiły się w powietrze pierwsze kłęby dymu, zaczęło w ognisku grzmieć i huczeć, jakby pioruny z otwartego nieba biły w ziemię, a płomyki, niczym ręką niewidzialną rzucane, zaczęły skakać dookoła, gonić, i prażyć.

– Aj! – wrzeszczeli. – Parzy! Palę się! – wypluwali ze swoich ust bluźniercy. – To miejsce jest święte.

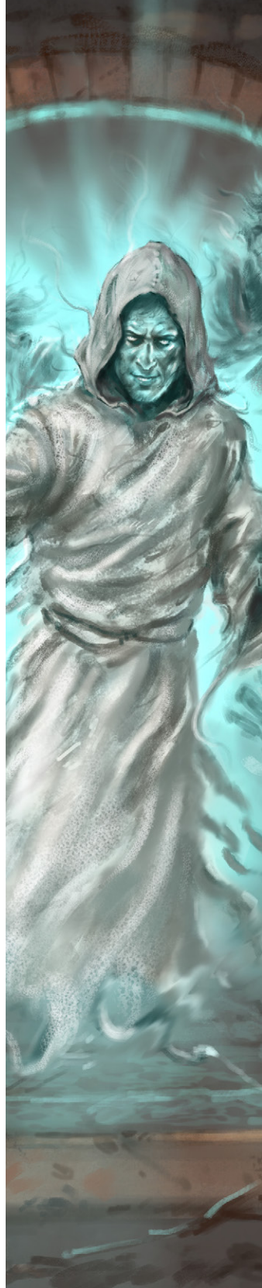
Pouciekali. Podobno długo leczyli się z poparzeń. A figura? Choć z drzewa pospolitego wyrzeźbiona była, ostała się nietknięta płomieniem.

– Ty kukło drewniana! – wrzasnęła do cna rozwścieczona Anna, widząc nietkniętą Maryję z dzieciątkiem, leżącą na stosie popiołu. – Ty mną rządzić nie będziesz! Upokorzę cię, zniszczę raz na zawsze!

Cisnęła posąg Świętej Panienki do pobliskiej studzienki.

– Zasyp ją obornikiem i ziemią! – poleciła towarzyszącej jej służce.

Po tym świętokradztwie jeszcze dzikse na zamku gostyńskim szalały orgie, jeszcze bardziej opętańcze rozlegały się chichoty i wycia. Przerażeni mieszkańcy Gostynia z trudem to już wytrzymywali. Aż wreszcie jednego dnia, w samo południe ciemności nieprzebrane nadciągnęły nad zamczysko. Rozdarło się niebo i rozbrzmiały gromy straszliwe.



We wnętrzu góry powstała ogromna wyrwa. W ciągu kilku chwil nagle wszystko ucichło. Znów zajaśniało słońce, ale… zamczyska na górze już nie było.

– To góra pochłonęła ten przeklęty zamek i wszystkich jego mieszkańców – spekulowali ludzie. – Spotkała ich kara boska.

Niektórzy, co wspinali się na jej szczyt, twierdzą, że z wnętrza skał wydobywają się jęki i szlochy, a nad górą unosi się dym.

– Tymczasem na ziemi gostyńskiej dziwy dziać się zaczęły, na szczęście już nie takie straszne – ciągnęła swą opowieść Maryjanna.

– Światło o zmierzchu? – wyszeptał pasterz, widząc nad studzienką jaśniejącą łunę. – Może mi się przewidziało. Przyjdę sprawdzić jutro.

I przychodził tak dzień w dzień, a światło nie znikało. Jaśniało przez całą noc.

– Ludzie, to światło całą noc świeci! – poszedł rozpowiadać. – Jakem podszedł, całe moje bydło przed nim klęczało. Dyć to musi być nie z tego świata!

– Chodźta, odkopmy tę studzienkę – zachęcali się nawzajem ludzie.

I zaczęli kopać. Odwalili piach, przekopali obornik. Aż nagle łopata uderzyła o coś twardego.

– Patrzcie! – wołają. – Coś tu jest!

Jak ogromne było ich zdziwienie, gdy znaleźli znieważoną przez Anną figurę Matki Boskiej Bolesnej.

– Nie do wiary! Ani trochę uszkodzona nie jest! W mokrym leżała, a drewno nietknięte. I kolory żywe, jakby dopiero co malowane! – poczęli się zachwycać.

W uroczystej procesji wniesiono figurę cudowną z powrotem do kościoła świętogórskiego. Umieszczono ją w ołtarzu bocznym po lewej stronie ołtarza wielkiego. A na pamiątkę tego zdarzenia obok studzienki wybudowano kapliczkę, która stoi tam do dziś.

Taki był początek cudów w dziejach Świętej Góry. Tak też dwie góry, połączone wspólną historią, zapisały się w dziejach Gostynia. ♦

6



JUTROSIN

JAK CI ZATNĘ POD DUPINO, **TO CI BĘDZIE JUTRO SINO**

Jutrosin w powiecie rawickim. Znacie tę gminę i miasto? Pięknie tu jest! Daleko od dużych ośrodków przemysłowych, środowisko czyste, powietrze świeże, a spokój – niespotykany. Niepozorne na pierwszy rzut oka miasteczko ma przecież duży rynek, otoczony zadbanymi kamieniczkami i ratuszem. Wielowiekowa, sięgająca średniowiecza historia sprawiła, że plac centralny pamięta wiele pokoleń mieszkańców. Pamięta średniowieczną lokację. Widział, jak w połowie XVII wieku do Jutrosina ściągnęli ze Śląska osadnicy wyznania protestanckiego i jak w mieście poczęli osiedlać się Żydzi. Rynek pamięta osoby różnych kultur, które przybywały zachęcone swobodą wyznania, handlu i rzemiosła.

Może pamięta również wydarzenia najdawniejsze, opowieści o powstaniu Jutrosina. Bo skąd się wzięła nazwa Jutrosin? Wiecie? Było to tak…

Rzecz działa się dawno temu. W tamtych to czasach, na terenie południowej Wielkopolski żyło trzech braci. Pewnego dnia po południu siedzieli sobie na skraju lasu i tak rozmawiali:



– Pomrzemy i pamięć o nas wnet zniknie – mówił najstarszy.

– Coś trzeba po sobie zostawić potomnym. Ale co by to mogło być? – zastanawiał się średni.

Po chwili milczenia głos zabrał najmłodszy:

– Jak to co? Zbudujemy miasta!

To dobry pomysł! Podchwycili go starsi bracia. I poczęli obmyślać szczegóły planowanego przedsięwzięcia. A że rodzeństwo należało do tych, którzy jak mówią, tak czynią, po jakimś czasie pojawiły się trzy miasteczka. Z początku były niewielkie, ale bracia nimi dobrze zarządzali. Rozwijały się więc, a organizowane w nich targi przyciągały zarówno okolicznych rolników, jak i rzemieślników oraz kupców z dalekich stron. Bardzo radowało to założycieli.

Był tylko jeden problem: wszystkie trzy miasta były bezimienne. Żaden z braci nie miał pomysłu, jak je nazwać.

Długo się głowili, długo dyskutowali, ale żadna z propozycji, jakie przychodziły do głowy któremuś z nich, nie zyskiwała aprobaty pozostałych. Dumali tak całymi miesiącami. W końcu ludzie, na własną rękę poczęli nazwy wymyślać. A ilu było mieszkańców, tyle nazw. Jeden mówił: Bydlin, drugi: Równin, jeszcze kto inny: Rybin. To tylko kilka przykładów. I jakim cudem ktokolwiek przyjezdny, mógł się rozeznać, o które miasteczko chodzi? Było z tego niemałe zamieszanie.

Czas mijał, a miejscowości się rozwijały. Nie można było w nieskończoność odwlekać nadania im nazwy. Najstarszy brat wpadł wreszcie na pewien pomysł i rzekł:

– Posłuchajcie, proszę. Nie mam co prawda pojęcia, jak nasze osady nazwać, lecz wiem, kto pomóc nam może – pustelnik Szymon!

Pustelnik mieszkał w samotni, oddalonej o trzy godziny drogi. Wielu okolicznych do niego po radę się udawało, niektórzy nawet z daleka przybywali. Nikogo nie odsyłał z kwitkiem, a każdego obdarzał dobrą radą i modlitwą. Nie raz i cuda za jego wstawiennictwem się zdarzały.

Średni brat uderzył się dłonią w głowę:

– Dlaczego wcześniej do niego nie pojechaliśmy?! Wyruszmy natychmiast! Jeśli się pospieszymy, zdążymy wrócić przed zmrokiem.

Zaprzęgli zatem konia i pojechali. Tak się złożyło, że droga do Szymona przebiegała przez miejscową rzeczkę, nad którą nie było jeszcze mostu, a jedynie bród. Dotarłszy tam, stanęli

zdumieni. Przeprawa wyglądała jakoś inaczej niż zawsze. Ubita ziemia zniknęła w zwałach błotnistej mazi.

– Patrzajcie! Czyż nie suchą stopą zawsze żeśmy tędy przechodzili? – zapytał pozostałych najmłodszy.

– Zaiste! – potwierdził średni.

– Oj, strachliwi wy jesteście jak baby! – zelżył ich najstarszy. – Toć deszcze ostatnio padały i do tego wozy na targ jechały. To dlatego ziemia jak przeorana wygląda. Nie zatrzymujmy się! Wio! – uderzył konia batem kilka razy.

Przestraszone zwierzę ruszyło co sił przed siebie. Ale kilku metrów nie uszło i w jednej chwili wóz znalazł się w samym środku rzeki. Zarył się w mule po same osie. Najstarszy z braci, widząc to, przestraszył się nie na żarty. Począł jeszcze intensywniej zacinać konia batem.

– Wio, szkapo jedna! Wio! – wołał.

Ale konia jakby zamurowało. Stał nadal pośrodku brodu i tylko parskał. Biedny zwierz prężył się z całych sił. Napinał wszystkie mięśnie, ale zaprzęgu ruszyć nie zdołał.

W końcu porządnie już zdenerwowany najstarszy brat zawołał:

– Wio! Ruszaj kobylino, jak ci zatnę pod dupino, to ci będzie jutro sino!

Nie wiadomo, czy to zawołanie miało większą moc, czy koń się bardziej postarał, ale wóz ruszył. O, wielka była ulga i radość z tego faktu. Okazało się, że ta nietypowa przygoda przyczyniła się również do rozwiązania, trapiącego braci frasunku.

– Ha, ha, ha! Ale ci się to powiedzenie udało! – roześmiało się młodsze rodzeństwo.

– Myślę, że już nie potrzebujemy rady pustelnika – dodał najstarszy. – Niech na pamiątkę tego zdarzenia nasze miasta otrzymają nazwy: Kobylin, Dupin i Jutrosin. Co wy na to?

– Niech tak będzie! – przytaknęli jednogłośnie.

Od tamtej pory trzy miasta nie są już bezimienne. Nie ma również problemu z tym, że każdy je po swojemu określa. Wymyślone nazwy przyjęły się natychmiast. I tak już pozostało do dzisiaj, Dupin tylko przemianowano w okresie międzywojennym na Dubin.

Jutrosin nadal rozwijał się i piękniał coraz bardziej. Dorobił się wspaniałych świątyń oraz witraży Józefa Mehoffera w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Elżbiety. Ich wysublimowanej

kolorystyki nie odda żaden opis. Nadal jest tu spokojnie i przyjaźnie, a kontaktu z naturą nie trzeba daleko szukać. Wystarczy szlakiem pieszym udać się nad sztuczny zbiornik na Orli i Rdęcy. Znajdziemy w nim dwa miliardy litrów wody, zmagazynowanej dla rolnictwa, masę ryb, ptaków oraz malownicze widoki.

Ale wracając do naszej opowieści…

Ludzi słabej wiary znajdziecie wszędzie. I w Jutrosinie jest kilku niedowiarków. Niektórzy uważają na przykład, że mieszkał tu ród niejakich Jutrosińskich i to od nich miasto nazwę zaczerpnęło. Inni twierdzą, że pochodzi od imienia Jutrosza lub Jutrocha, który był prawdopodobnie pierwszym właścicielem osady. A jeszcze inni, pilnie zgłębiający dawne słownictwo, wyszukali w historycznych dokumentach z XIII wieku nazwy takie jak: Iutrossin, Utroszyna, de Vtrossino, Iutroszino, Jutroszino. Całkiem prawdopodobne, że w dawnych wiekach tak właśnie nazwę Jutrosin wymawiano. ♦



7

KACZORY

JAK POWSTAŁY **KACZORY**

– Dziadku, dlaczego schowałeś telewizor w piwnicy? – zapytał Staś.

– Słucham? – zdziwił się starszy pan.

– Rodzice trzymają tam niepotrzebne rzeczy, a ty zawsze powtarzasz, że tobie telewizor jest niepotrzebny – tłumaczył smyk.

Dziadek uśmiechnął się serdecznie:

– Nie trzymam go w piwnicy. Ja nie mam telewizora.

– To jak obejrzymy bajkę na dobranoc? – Kuba zrobił minę, jakby miał się za chwilę rozpłakać.

– A może coś wam opowiem? – zaproponował dziadek. – Kiedyś, gdy nie było jeszcze kreskówek, siadałem przy piecu, słuchając opowieści, które snuł mój dziadunio. Jego historie zawsze zawierały ziarno prawdy. Były fascynujące! Potem godzinami wyobrażałem sobie, że żyję w dawnych czasach.

– Tak! Chcemy! Chcemy! – zakrzyknęły wnuczęta. – A czy my też możemy usiąść przy piecu?

– Usiądźmy tam. Pieca dawno już nie ma – dziadek wskazał na żarzący się kominek. – A czy wy w ogóle wiecie, jak nazywa się miejscowość, w której mieszkam?



– Kaczki? – zapytał Kuba.

– Prawie dobrze. To Kaczory – poprawił go dziadek, rozsiadając się w starym bujanym fotelu. – Jak może widzieliście na ratuszu, koło którego jechaliście, miasto ma taki niebieski herb z dwoma żółtymi kaczorami.

– Widziałem – pokiwał głową Kuba.

– Wyobraźcie sobie, że dawno temu, w 1513 roku, kiedy pierwszy raz wspomniano o Kaczorach, nie mieszkał tu żaden wielki panicz, ani nie było tu zamku czy dworu. Przez długi czas mała osada na Krajnie liczyła tylko sześć gospodarstw.

– To jak powstało miasto? – dziwili się chłopcy.

– Przed wiekami lasów było tu jeszcze więcej niż dziś. Wśród drzew kryły się liczne mokradła i jeziorka. Właściciel sąsiedniego Morzewa przyjeżdżał tu, by dla rozrywki polować na kaczki. Od tych kaczek zapewne wzięła się nazwa Kaczory. Potem powstała karczma, przyjechał kowal i wzniesiono coraz więcej domów.

– I to już koniec? Nie znasz czegoś jeszcze? Co było dalej z Kaczorami? – zasypał go pytaniami Staś.

Gawędziarz popił łyk czarnej herbaty:

– A macie siłę słuchać dalej? – zapytał.

Odpowiedziały mu skinienia dwóch małych główek, dlatego dziadek kontynuował:

– Od czasu polowań na kaczki minęły dwa pokolenia, czyli jakieś 150 lat. Kaczory rozrosły się i były już sporym miasteczkiem. Słyszeliście kiedyś o takim kraju, co się nazywa Szwecja? Kubuś przypomniał sobie:

– Tata tam był. Mówił, że było strasznie zimno. Ciągle padał śnieg i że tam blisko mieszka Święty Mikołaj.

– O, całkiem nieźle! – zdziwił się dziadek. – Choć dziś nie o Świętym Mikołaju chciałem wam opowiadać. W XVII wieku Szwedzi postanowili zapanować nad Polską. Ogromna armia wyruszyła zaatakować nasze ziemie. By do nas dotrzeć, musieli się przeprawić przez morze.

– Czy oni w tym morzu utonęli? – dopytywał Staś.

– Ty głuptas jesteś! – szturchnął go łokciem Kuba.

Dziadziuś uspokoił chłopców i opowiadał dalej:

– Żołnierzy szwedzkich było tak wielu, że zalali nasz kraj jak woda. Dlatego nazywamy to wydarzenie „potopem". Musicie wiedzieć, że nie byli to mili panowie. Kazali płacić sobie daniny. Ponadto kradli, a biedakom zabierali ostatni kęs chleba. Bogaci mówili, że najazd wojsk wyjdzie Polsce na dobre. Początkowo wspierali króla szwedzkiego, licząc, że ich ogromne majątki zostaną nietknięte. Ale po kilku miesiącach, gdy chłopi już nie mieli nic, żołdacy zaczęli rabować także domy bogatych szlachciców. Byli tak chciwi, że potrafili drzwi wyjąć z framug i zeskrobać złoto z pozłacanych poręczy. Pustosząc nasz piękny kraj, doszli do Częstochowy. Byliście tam, prawda?

– Tak! – odpowiedzieli

– Jak wiecie, jest tam bardzo cenny obraz Marii Panny, wiele złotych relikwii, skarbów, dzieł sztuki i innych rzeczy, których nie mieliśmy zamiaru nikomu oddać. I gdy ci Szwedzi stanęli pod bramami Częstochowy, mieszkańcy i bracia zakonni zaczęli się bronić.

Kiedy tu na Krajnie usłyszano, że sprzeciwiono się okrutnym rabusiom, postanowiono zrobić to samo. Szwedzi nadchodzili od północnego zachodu i byli już blisko. Już zajęli Piłę i okoliczne miejscowości. Trzeba było szybko wymyśleć sposób obrony. Na szczęście obładowane łupami wojska szwedzkie przemieszczały się bardzo powoli. A nasza okolica była przecież podmokła. Były torfowiska, na których mieszkało wiele ptaków. Myślicie, że ciężkie wozy dały radę tędy przejechać? – zapytał małych słuchaczy.

– No nie, chyba nie! – powiedział cicho Staś.

– No pewnie, że nie! – przytaknął dziadek. – Aby przeciągnąć duże łupy, najeźdźca musiał mieć odpowiednią drogę. Dlatego okolicznych chłopów zatrudniono do budowy traktu przez Noteć. Musieli wycinać lasy, a kłody układać na bagnach w poprzek drogi łączącej Piłę, Ujście i Chodzież. Nikt nie myślał o zapłacie ani za drewno, ani za pracę. Każdy cieszył się, że głowę zdołał uratować, bo Szwedzi, gdy tylko dowiedzieli się, że ktoś jest katolikiem – byli okrutni.

Kiedy rozniosło się, że Szwedzi oblegają Jasną Górę, okoliczni chłopi oburzyli się ogromnie, zwłaszcza parafianie ze wsi Morzewo, Rzadkowo, Krzewina, Dziembowo i Byszki.

– Pludrów – tak pogardliwie nazywano szwedzkie wojska – przegonić trzeba raz a dobrze! – mówili.

Był listopadowy wieczór, kiedy na plebanii u księdza proboszcza nietypowe odbywało się zebranie. Przybyli sołtysi oraz co znaczniejsi miejscowi.

– Najświętszej Panience ruszyć na pomoc trzeba! – uradzono jednomyślnie.

– Ale nie z pustymi rękoma! – roztropnie dodał ksiądz proboszcz.

– Trzeba nam broni. Coś tam po okolicznych dworach się znajdzie, ale niewiele tego.

– W Pile spróbuję proch kupić – zaofiarował się piwowar z morzewskiego browaru, z którego dochód probostwu był przypisany. – Jak ksiądz proboszcz zgodę da, to za piwo go dostanę.

Kapłan skinieniem głowy przyzwolił, po czym rzekł:

– Niech kowale piki, rohatyny i oszczepy kują. Marna to broń, ale lepsza niż żadna. I dobrze ją po zagrodach pochować, bo w każdej chwili może być potrzebna.

I oto nie minęły dwie niedziele, a do Morzewa przybiegł z wieścią Sobek, syn kowala z Rzadkowa:

– Oddział piechoty szwedzkiej na wzgórzu pod wsią obozuje. Mają wozy z łupami. – powiadomił.

Ksiądz wezwał ministrantów:

– Idźcie po wsiach, wezwijcie ludzi, by z bronią, jaką mają pod ręką, stawili się pod kościołem.

Zebrało się kilkudziesięciu chłopa. Po północy powrócił jeden z wysłanych na zwiady, oznajmiając:

– Szwedy śpią, leżą pokotem przy ognisku. Kilku żołdaków jest przy wozach. Oni też zasnęli.

– No to w drogę – zarządził stary Maciej.

Po chwili oddział zniknął w ciemności, żegnany przez proboszcza znakiem krzyża. Uderzyli znienacka. Uzbrojeni w kosy, widły i siekiery przycisnęli belką leżących żołnierzy i obezwładnionych pozabijali. Nim słońce wzeszło, po Szwedach nie było śladu, a chłopi wrócili do swych domostw objuczeni bronią i dobytkiem.

Wieść o zwycięstwie morzewskich kmieci rychło rozeszła się po Krajnie, ale ponieważ takich potyczek było wówczas wiele, kronikarze jej nie odnotowali. Pamiętał o tym tylko lud. Wzniesienie, na którym pokonano Szwedów, nazwano Śmiertelną Górą. Długo jeszcze chodziły słuchy o tym, że w każdą rocznicę pamiętnego wydarzenia dochodził stamtąd odgłosy bitwy. To podobno dusze zabitych pokutowały za swe czyny. Wtedy nikt nie miał odwagi znaleźć się w pobliżu wzgórza.

– Jej, ale to straszne! – wyrwało się Stasiowi.

– To chyba już skończymy, co? – zaproponował dziadek.

– Nie! Nie! My chcemy jeszcze! – dopominali się chłopcy.

Mężczyzna odchrząknął i rzekł:

– A więc słuchajcie… Ale to już ostatnia historia, którą pamiętam.

– Był sobie kiedyś taki jeden Anzelm. Bogaty człowiek i wiekowy. Zrzęda straszna i na dodatek chytrus, a spryciarz kuty na cztery nogi. Posiadał on majątek w Zeglnie i wieś Skórkę, z której co dzień rano chłopi przychodzili na folwark do pracy. Obie wsie oddzielało Jezioro Wapieńskie. Aby dostać się na miejsce, wieśniacy musieli nadrabiać szmat drogi. I spóźniali się dzień w dzień. A stary Anzelm złorzeczył im:

– Niech was diabli wezmą! – nie wiedząc, że w ten sposób moce piekielne przyzywa.

– I wyobraźcie sobie, że pewnego dnia, gdy starzec tak krzyknął, stanął przed nim diabeł:

– Wzywasz mnie codziennie, więc jestem. I mam do ciebie interes. Sprawię, że twoi chłopi nie będą się spóźniać. Pobuduję przez jezioro groblę, ale ty za to oddasz mi swoją duszę.

Przebiegły Anzelm się zgodził, ale pod jednym warunkiem.

– Wybudujesz groblę w jedną noc, nim kur zapieje – zaproponował.

Diabeł przystał na to i gdy tylko słońce zaszło, zabrał się do roboty. Do wielkiej płachty zbierał z pagórków piasek. Następnie wysypywał go w najwęższym miejscu jeziora. Pracował jak mróweczka. Tymczasem Anzelm…

– Poszedł do piekła? – spytali chłopcy.

– Tego nie wiem, ale spodziewał się, że diabłowi uda się wykonać zadanie i postanowił być sprytniejszy. Nakazał chłopom, by znieśli do jego kurnika wszystkie koguty z obu wsi! Diabeł właśnie kończył. Właśnie nasypał do płachty ostatnią porcję piachu, gdy Anzelm wszedł do kurnika i jednym ruchem poprzewracał grzędy, na których siedziały koguty. Zerwane ze snu ptaki piały tak donośnie, że w całej okolicy słychać było głośne: „kukurykuuu!”.

Wściekły diabeł puścił z rąk płachtę, wysypał piach na brzeg jeziora i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Anzelm długo rechotał, ciesząc się, że samego czarta oszukał. I wiecie co? Po tym wydarzeniu staruch jakoś stał się milszy dla innych.

– To znaczy jaki? – dopytywał Staś.



– Razem ze swoimi chłopami dokończył diabelską groblę i bardzo się pilnował, aby za dużo na pracowników nie złorzeczyć i już nie przyzywać imienia diabła.

– A czy to przejście przez jezioro jeszcze jest?

– Niestety nie ma. Z czasem groblę rozmyła woda. Do dziś został tylko niewielki piaszczysty pagórek nad jeziorem, który miejscowi nazywają Diabelską Górą. Zachowajcie w pamięci te historie. Być może kiedyś i wy opowiecie je swoim wnukom. I pamiętajcie, moje dziatki! Nigdy diabła nie wzywajcie, bo nie wiecie, kiedy naprawdę zjawić się może.

– Dobrze, dziadku – odpowiedziały poważnie dwa chłopięce głosy. ♦

8

KAŹMIERZ

O PIECIU BRACIACH **MĘCZENNIKACH**

Kaźmierz, wieś nieopodal Szamotuł na Pojezierzu Poznańskim, leży w dolinie rzeki Samy, na dawnym szlaku bursztynowym. Nim jeszcze prawa miejskie otrzymał w XIV wieku, ważną był osadą w okolicy.

Pierwsza wzmianka o Kaźmierzu, zapisanym jako Kazmirs, pochodzi z 1298 roku, z ksiąg biskupa poznańskiego Andrzeja. Mowa w nich już wtedy o kaźmierskim kościele, wzniesionym być może na miejscu dawnej pustelni. W niej to, tysiąc lat temu przeszło, doszło do dramatycznych zdarzeń.

Było to na przełomie wieków X i XI *W kraju, który mieszkańcy nazywają Slawonią, tam, gdzie piękny las nadawał się na samotnię*, jak pisze średniowieczny benedyktyn Bruno z Kwerfurtu, za zgodą i wolą księcia Bolesława Chrobrego osiedli bracia pustelnicy. Benedetto i Giovanni, dwaj Włosi z możnych rodów, nową wiarę chrześcijańską krzewić mieli w okolicy i młodych uczniów na zakonników kształcić. Dołączyli do nich wkrótce Słowianie z chrześcijańskiej rodziny – dwaj bracia rodzeni, Izaak i Mateusz, których siostry mniszkami także były, Krystyn albo



Kryspin, młody pomocnik klasztorny, i ostatni, nie od razu przybyły, lecz później – też Włoch z urodzenia, Barnaba.

Kościółek pobudowali na wzgórzu niewielki, drewniany, maleńkie wokół domeczki-cele, a przed dzikim zwierzem ogrodzenie z kolczastych krzewów ochronić ich miało. Włosi przyjęli słowiańskie obyczaje, uczyli się też języka. Najlepiej szło Giovanniemu, on szybko tę dziwną, szeleszczącą mowę przyswoił. I choć to Krystyn głównie staranie miał o wyżywienie i inne przyziemne sprawy, to i Giovanni nieraz do furtki wychodził, zawsze z szerokim uśmiechem.

– A, to wy, Lubczikka, witajcze *in nomine Domini*! Co tam macze *per noi*?

– Weźcie rybę, braciszkowie, dzisiaj złapana! Najedzcie się dobrze, chudziny, a pomódlcie szczerze o deszcz i urodzaj – stara Lubczycha nie bała się ani pustelników, ani nowej wiary. Wiedziała, że po zioła do niej każdy przyjdzie i tak. I ten z krzyżykiem na szyi, i ten, co w dawne bogi wierzy. Lubiła ich nawet, cudaków. Od jednej ryby oddanej nie zbiednieje przecie.

– *Grazie, grazie*! Dżękujem! – jeszcze szerzej uśmiechnął się Giovanni.

Upiekli braciszkowie rybę na żywym ogniu i zjedli, Bogu swojemu dziękując, a i Lubczychę błogosławiąc za dar niespodziany. A zdumieli się srodze, gdy dnia następnego w sadzawce nieopodal pustelni taką samą rybę znaleźli. I za każdym razem, gdy złapali ją i zjedli, cudownym sposobem znów się pojawiała.

Tak sobie żyli pobożnie, przyjaźnie do okolicznych mieszkańców nastawieni, wdzięczni im za utrzymanie. Mieliby braciszkowie spokój pewnie, żyliby sobie po bożemu i o nowej wierze dalej opowiadali, gdyby nie burzowe chmury wielkiej polityki i wojna Bolesława z nowym cesarzem niemieckim. Benedetto wiedział, że musi się z patronem rozmówić, co czynić dalej mają, i wraz z Barnabą ruszyli w ten niespokojny czas na spotkanie z Brunonem z Kwerfurtu. Dotarli aż do Pragi, na dwór Bolesława Chrobrego. Przyjął ich książę serdecznie, a po wieczerzy wziął Benedetta na rozmowę do swojej komnaty.

– W kraju moim coraz więcej chrześcijan. Słusznym by było, abym mógł zwać się chrześcijańskim królem. Pojedziesz do Rzymu, Benedykcie, chcę, byś ważnej rzeczy dokonał. Nakłoń papieskiego ucha, a wyjednaj mi zgodę na koronację. Hojnie cię wynagrodzę za to, skarbnik mój dziesięć

funtów srebra wyda ci przed podróżą. Kościół większy może pobudujesz, braci ściągniesz, znacznym miejscem w okolicy stanie się twoja pustelnia – mówił książę.

Ściany we dworach książęcych mają uszy. Wieść o misji, a co więcej, o tym, jak szczodrą zapłatę Benedetto miał za nią otrzymać, obiegła domostwo, nim jeszcze opuścił on komnatę księcia.

Noc całą pustelnik leżał krzyżem, modląc się o radę. Rankiem prosił znów o posłuchanie u księcia. Wyszli nad rzekę i długo jak równy z równym mówili, a podsłuchać nie było sposobu. Nikt więc we dworze nie wiedział, że Benedetto śmiał księciu odmówić prośby, jeden tylko skarbnik, ale ten milczał zawsze jak zaklęty.

Następnego dnia o świcie Benedetto z Barnabą wyruszyli w drogę powrotną do pustelni. Stamtąd, po kilku dniach odpoczynku, udał się młody Barnaba do Rzymu na spotkanie z Brunonem. Nie wiedział młodzieniec, że ostatni raz błogosławi go Benedetto, i że żywymi już braci swoich więcej nie ujrzy.

Czas mijał, liście już z drzew opadły i mrozy zaczęły doskwierać pustelnikom. Listopad objął lasy w posiadanie na dobre, pierwsze śniegi pojawiały się i topniały na przemian. Tuż przed świętym Marcinem pustelnicy odprawili w kościółku nabożeństwo za rychły powrót Barnaby. Martwili się trochę o brata swego, powinien być już na miejscu. Zatroskani spać się pokładli. Ledwo jednak zasnęli, zbudził ich tętent koni, hałas łamanej furtki i głośne ochrypłe krzyki. Mocno pchnięte drzwi uderzyły o ścianę celi Benedetta.

– Gdzie srebro książęce trzymasz, co? – Czerwona, spocona twarz pijanego Wojciecha nachyliła się nad posłaniem pustelnika. – Dawaj trzos!

– Nie ma u nas żadnego srebra, panie, dajcie nam spokój…

– Łżesz, psie!

– Nie ma, miejże litość…

Nie miał Wojciech litości. W furii pijanej siekł mieczem na odlew po twarzy, po posłaniu, po drzwiach:

– A dziady kłamliwe, chodźcie tu. Gdzie się chowacie, gdzie srebro!

Nie zdołali się schować. Giovanni zginął z piersią mieczem rozpłataną, Izaak i Krystyn w drzwiach kościółka usieczeni, a Mateusz padł przeszyty oszczepami na dziedzińcu. Najeźdźcy

srebra nie znaleźli, wzięli kielich z ołtarza, ornat piękności wielkiej złotymi nićmi wyszywany, bogato inkrustowaną okładkę mszału oderwali siłą, a samą księgę w błoto z krwią zmieszane rzucili. Śpieszyli się już wielce, ogień podkładając, dlatego pewnie zgasł szybko i zatrzeć śladów zbrodni nie zdołał.

Rankiem przybyli na marcinowe nabożeństwo ludzie z okolicy. Znaleźli ciała braci męczenników na śniegu, który nie padał więcej tej nocy i pokazać mógł, którędy uciekli zabójcy. Zaraz też w pościg za nimi ruszono.

Biskup Unger, o wszystkim powiadomiony, dwa dni później przybył na miejsce, by odprawić mszę żałobną.

A następnego roku, wspólnie z Barnabą, jedynym ocalałym spośród pustelników, ruszył do papieża, by opowiedzieć mu o zdarzeniach spod Kaźmierza. Papież Jan XVIII wysłuchał opowieści i – „bez wahania i bez wątpienia" – przyjął Pięciu Braci Męczenników w poczet świętych kościoła. Czczeni są dziś w Polsce, Czechach, na Morawach i we Włoszech. ♦



9

KOMORNIKI

SKĄD SIĘ WZIĘŁA NAZWA **KOMORNIKI**

Mało kto wie, że niewielka miejscowość Komorniki, na południe od Poznania, pamięta dzieje Piastów, a ich ponad osiemsetletnia historia skrywa przed nami jeszcze niejedną tajemnicę. W całej Polsce znany jest tutejszy Festiwal Muzyki Organowej, ale czy słyszeliście o biednym komorniku? Nie? To posłuchajcie.

Nie chodzi tu bynajmniej o urzędnika, który z powodu zalegania w opłatach czynszowych może zająć wasze mieszkanie. Nasz komornik był zupełnie inny.

Słowem wyjaśnienia: w dawnej Polsce szlachecko-pańszczyźnianej mieszkańcy wsi dzielili się na kmieci, zagrodników, chałupników i komorników. Prócz tego byli oczywiście młynarze, karczmarze i rzemieślnicy, którzy na wsi mieszkali, ale uprawą roli się nie zajmowali. Kmiecie byli bogatymi gospodarzami, którzy posiadali najczęściej łan, czyli 17 hektarów ziemi uprawnej. Zagrodnicy dysponowali chatą z małym podwórkiem, obórką, a czasami i skrawkiem pola. Chałupnicy nie posiadali żadnego gospodarstwa ani roli, pracowali u kmieci lub w pańskim folwarku, ale przynajmniej mieli własną chałupę z ogródkiem. Komornicy byli zaś najubożsi.

Nie mieli nawet własnego dachu nad głową i mieszkali całymi rodzinami kątem w gospodarstwach bogatych kmieci. Dosłownie „siedzieli na komorze", czyli wynajmowali jakąś marną izbę. Za to mieszkanie płacili pracą albo oddawali część swego niewielkiego zarobku.

Historia wydarzyła się dawno, dawno temu. Na komorze u kmiecia mieszkał biedak z żoną i sześciorgiem dzieci. Za chwilę dopiero świtać miało. Dzieci spały przytulone jedno do drugiego. Ojciec rodziny już ubrany, już na nogach cicho drzwi za sobą zamykał. „Niech śpią jeszcze dziatki. We śnie głodu nie czują, niech mają choć tę odrobinę szczęścia", myślał. I ruszał do obory zwierząt doglądać, potem na pole, potem coś naprawił, płot połatał i znów do obory. I tak pracował dla swojego pana cały boży dzień. Od świtu do zmierzchu. Wtedy stawał przed kmieciem, rozliczając się z wykonanej roboty. A że kmieć łasy na grosz był, od dawna komornikowi nie płacił. Dorzucał mu tylko coraz to nowe zajęcia.

– Dlaczego tamto bydlę jest chore, co? Nie dojrzałeś go dobrze! Jak zdechnie, ty razem z nim w oborze gnić będziesz! – krzyczał kmieć.

Chłop uczciwy, wytłumaczyć sytuację próbował.

– Słomy brakuje panie, dlatego krowa licha. Nic złego żem nie uczynił.

Zawsze kończyło się jednak tak samo.

– Dziś jeść nie dostaniecie! – wykrzyczał kmieć.

Chłop wrócił ze spuszczoną głową do żonki. Serce mu się ściskało, gdy dziatki obskakiwały go wołając:

– Tato, tato! Jesteśmy głodni!

Spuścił głowę, zacisnął zęby.

– Kraść nie będę. Po prośbie do kmiecia pójdę. Będę prosił tak długo, aż się zgodzi – wyszeptał i ruszył do pańskich drzwi pukać.

Padł na kolana i zaczął błagać:

– Panie, choć garść kaszy pożycz mi proszę, choć garść mąki. Oddam ci wszystko. Ciężej pracował będę. To nie dla mnie, ale dla dzieci, coby z głodu nie pomarły.

– Nie wstyd ci tak ciągle pożyczać? Oszukać ja się nie dam. U mnie z procentem należności się zwraca – kmieć grzmiał na niego tak, że tamten kuląc się ze strachu, w duchu modli się, coby go pan nie pobił.



– Wiem, wiem – truchlał coraz bardziej.

W końcu pan odsypywał marną garść mąki.

– Masz tu, ale żeby to było ostatni raz!

Nie dawał z dobrego serca. Dzięki tym pożyczkom pretekst miał, by jeszcze bardziej biedaka w pracy ciemiężyć.

Tamtego dnia dwójka dzieci komornika zachorowała. Tak osłabły, że z posłań swych wstać nie mogły.

– Aby wyzdrowieć, muszą zjeść coś pożywnego – rozpaczała matka. – Nie mogę ich cały czas żywić zupą z obierków po ziemniakach.

– Obiecałem kmieciowi, że więcej go już o nic prosić nie będę. Ale cóż począć… wyjścia nie ma – rzekł biedak.

Pochylił głowę, westchnął i znów zakołatał do drzwi. Kmieć, rozjuszony, że ktoś mu śmie spokój zakłócać, warknął jeszcze głośniej niż zawsze.

– To znowu tyyy?!

– Moje dzieci, proszę! Pomrą z głodu, jak nic nie zjedzą! – upraszał chłop.

– E tam! Pleciesz piąte przez dziesiąte. Dość już mam tego twojego gadania. Dług mi oddaj albo wynoś się z mojej izby, ty i cała twoja rodzina. Jutro ma was nie być!

– Kilka dni panie, proszę tylko o kilka dni, pozwól nam zostać. Dzieci chore… – błagał komornik ze łzami w oczach.

– Masz trzy dni! Jak was po tym czasie zobaczę, zdrowe czy chore – kijem przegonię! – I zatrzasnęły się drzwi z takim hukiem, że cała chałupa się zatrzęsła.

Służący dał chłopu po cichu garść kaszy i wyszeptał:

– To dla dzieci. Lepiej je szybko wylecz i uchodźcie. Nasz pan słów na wiatr nie rzuca!

– Niech Bóg ci wynagrodzi – podziękował komornik i poszedł do lasu po chrust, aby było na czym strawy nagotować.

Przechodził biedaczysko koło przydrożnej drewnianej figurki Chrystusa, upadł na kolana i zaczął prosić:

– Panie Jezu, co ja mam zrobić?! Gdzie ja się mam z tymi dziećmi podziać? Wygnał nas człek okrutny. Boże, kochany Boże! Aż tu nagle Pan Jezus się odzywa:

– Idź do domu. Przyjdę do ciebie i dopomogę.

Chłop zdębiał, ale uwierzył. Chrustu nazbierał i do domu wraca.

– Kochanie, kochanie, nie uwierzysz – woła od progu żona.

– Dziś jużem skory we wszystko uwierzyć – uśmiechnął się smutno komornik.

– Do naszego okna w izbie zastukał brodaty starzec, pewnie żebrak. O strawę prosił. Mówiłam, że szóstka dzieci, głód i widmo wygnania, ale że wyglądał jeszcze gorzej niż my, litość mnie wzięła nad nim. Dałam mu małą miseczkę kaszy. Zjadł łapczywie i odszedł w świat dalej. Ale potem... patrzę... w komorze stoją dwa worki mąki i worek złotych monet! – żona z radości rzuciła mu się na szyję. – Bóg się nad nami ulitował najdroższy!

– O czym ty mówisz, kochana?! – komornik najpierw z niedowierzaniem dopytywał, a potem z rosnącą radością i wzruszeniem żony słuchał, wycierając łzy, które z oczu płynąć mu zaczęły.

– Zaiste, skarbie, dziś Bóg okazał nam swoją cudowną dobroć! Tyle złotych monet! Już nigdy nie będziemy głodni! – podniósł ją w uścisku jak do tańca. Po czym chwycił garść pieniędzy i poszedł do kmiecia dług spłacić.

Gospodarzowi na widok monet oczy o mało z orbit nie wyskoczyły.

– A skąd ty żeś wziął tyle pieniędzy? – dopytuje.

Wysłuchał opowieści o figurze, modlitwie i wizycie starca. Z zazdrości poczerwieniał i z gniewem zawołał:

– To tak? Ja tu się staram, gospodarki pilnuję, haruję, a ty żeś poszedł, poprosił i dostał? Toż to niesprawiedliwe! Ja też pójdę! – żachnął się i już przed świtem przy kapliczce klęczał.

– Tamtemu pomogłeś to i mnie pomóż. Przecie i ja jestem twój. Tamten mało ma, ale i mało robi. A ja się muszę naharować. Dopomóż i mnie! Chrystus i do niego przemówił:

– Idź do domu. Przyjdę do ciebie i dopomogę.

Ukontentowany kmieć kazał ucztę wyprawić.

– Dużo tłustego jadła i gorzałki przygotujcie – rozkazał. I knuł pod nosem: – Jak Bóg zobaczy, że tyle mu dałem, na pewno w dwójnasób mi bogactwem odpłaci.

Nie żal mu było kury na rosół i kaczki na mięsiwo, ani kiełbas, ani kapusty ze skwarkami. Gospodyni po kuchni się krzątała, gospodarz kurzył fajkę i gościa wypatrywał. Kołatanie.

–Idzie! – krzyknął i skoczył na równe nogi.

Tymczasem w progu widzi chłopca zmizerniałego.

– Rodzice mi zmarli. Nie mam gdzie się podziać. Może jaki kąt by się tu dla mnie znalazł i kawałek chleba? – prosił mały.

– Poszedł won! Nie ma tu dla ciebie miejsca! Ważniejszego ja gościa czekam. Nie zawracaj mi teraz głowy – kmieć go odpędził i zaczął drzwi przymykać.

– Błagam pana! – mówił ze łzami w oczach chłopiec. – Największe we wsi gospodarstwo pan ma. Będę dobry, będę pracowity.

– Czarny, bierz go! – zawołał kmieć na psa, co w sieni leżał.

A ten, podobnie jak jego pan zawzięty, dziecko do krwi w łydkę pogryzł. Skutecznie jednak od chałupy przegonił.

Za oknem już ciemno, a gościa, jak nie było tak nie ma. Strawa wystygła. Uczta nieudana. Baba zapłakana. Wściekły kmieć polazł do figury Chrystusa wyrzuty robić, że Bóg nie przyszedł jak obiecał, worków mąki i złota nie przyniósł. Ale figura przemówiła do kmiecia tymi słowy:

– A byłem u ciebie, a tyś mnie psem poszczuł.

Spojrzał gospodarz i za głowę się złapał. Z łydki drewnianej figury leciała krew. Widać było ślady zębów. I dalej figura prawić zaczęła:

– Pamiętaj, bliźniego szanuj jak siebie samego, nawet biednego komornika, co kątem w twym gospodarstwie siedzi.

I tak biedny, ale uczciwy i pracowity komornik stał się zamożny, a od tamtego wydarzenia wieś nazwę przyjęła Komorniki. Miejscowość prężnie się rozwijała, siedzibą gminy została. Dziś bogata jest pracowitością i przedsiębiorczością swych mieszkańców, którzy już komornikami nie są, lecz częściej zaradnymi przedsiębiorcami. ♦

10



KOSTRZYN

O KOSTRZE, **CO ZAŁOŻYŁ MIASTO**

11 listopada 1251 roku Przemysł I ulokował w Kostrzynie miasto, jedno z pierwszych w Wielkopolsce. Początki tego miejsca z piękną i bogatą historią sięgają średniowiecza, i to tego wczesnego.

Wyobraźcie sobie, że dawno, dawno temu, w czasach które nie zostały udokumentowane, w miejscu, gdzie leży dziś Kostrzyn, między rzeczkami Cybiną i Męciną, rozciągała się rozległa puszcza.

O lasach tych mówiono w całej okolicy:

– Ile tam saren, jeleni i dzików! – zachwalano.

– I rysia, i łosia nie raz widziałem – mówiono.

Bory ciemne to były i drogę w nich łatwo było zgubić. Kto odważył się zapuszczać w głąb tego lasu, swojej wrodzonej orientacji ufać musiał. Niejeden bowiem udał się na polowanie i już zeń nie wrócił.

Odważny Kostro jednak taki nie był. Często przemierzał szlak z Poznania do Gniezna. W dziewiczej puszczy polował i uganiał się za dzikim zwierzem. Mimo, iż przejeżdżał knieje wiele razy i znał je dość dobrze, nigdy nie podróżował po zmierzchu. Nie był tchórzliwy, ale rozsądny.

Tamtego wieczoru długo gonił za pewnym ósmakiem. Zapuścił się w tereny, na których wcześniej nie bywał.

– Aj, nawet żem nie zauważył jak się zaczęło ściemniać – powiedział sam do siebie. – Czym prędzej poszukam schronienia.

I pognał konia pędem przed siebie. Nagle las się rozstąpił.

– O, a co to za polana, której wcześniej nie widziałem? – zdziwił się, widząc rozległą łąkę z chatą pośrodku. – Czyżby ta puszcza kryła zakamarki, których jeszcze nie poznałem? Ciekawe, co jeszcze mnie tu czeka – mruczał pod nosem, zbliżając się do chaty.

Zapukał głośno.

– Słucham waćpana? – otworzyła dziewczyna, na widok której Kostro znieruchomiał. „Była tak piękna i świeża, jak poranna rosa. A ten głos! Jak najdelikatniejszy słowik", myślał. Dzielny rycerz stał jak wryty. Choć zawsze bystry i wygadany, tym razem nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

– Mów, panie, czego tu szukasz! – usłyszał ponaglenie z ust piękności.

Ostrzejszy ton otrzeźwił go momentalnie. Wyprostował się, wyprężył tors i zaczął:

– Przepraszam panienkę – zaczął wyjaśniać. – Polowałem w tych stronach. Goniłem jelenia i zapuściłem się dalej niż zwykle. Ściemniać się zaczęło, więc pomyślałem, że może… – nie zdążył skończyć zdania, gdy dziewczyna przerwała mu:

– Nie gadaj już. Masz tam stodołę i siano. Możesz zostać do rana – powiedziała . – A studnia jest tam – odwróciła się, wskazując ręką. – Wiadro widzisz? Jak pić chcesz, sam zaczerpnąć musisz. Ja służką nie jestem. Chłopu, nawet jeśli rycerz, nosić wody nie będę.

Kostro podziękował i udał się czym prędzej do stodoły, bo czuł, że dopada go zmęczenie.

Oj, zaimponowała mu buńczuczność dziewczyny. „W lasach żyje, twarda być musi kobieta", rozmyślał na posłaniu. „Ale pewien jestem, że serce ma jak anioł!" – uśmiechnął się do siebie i natychmiast zasnął.

Przespał pierwszy kur. Słońce było już wysoko, gdy poczuł jak ktoś go widłami trąca.

– Wstawaj waćpan! – Do wieczora spać zamierzasz? Przesuń się choć trochę, bo stodołę uprzątnąć muszę.

– Nieee…, skądże – powiedział leniwie Kostro, ziewając przy tym, jakby chciał muchę połknąć. – Dawno po prostu tak dobrze nie spałem!



– Jestem Wojtek, parobkuję u leśnika – przedstawił się rozmówca. – Panienka kazała podać panu chleba i świeże mleko – ukłonił się, postawił dzbanek i zabrał się za przerzucanie siana.

Rycerz wyciągnął rękę na powitanie:

– Ja jestem Kostro. Czekaj no! Czekaj! – zawrócił Wojtka, który już wychodził. Powiedz mi chociaż jak jej na imię i gdzie ją znajdę?

– Jagna – usłyszał zza wideł.

– A gdzie znaleźć ją?

– Oj, łatwo jej nie znajdziesz! A dziś już na pewno! – zaśmiał się Wojtek. – Wyjechała rano sprawunki załatwiać. A teraz wybacz, muszę krowy ogarnąć.

Kostro nie tylko był odważny i rozsądny, ale również pracowity. Za okazaną życzliwość chciał się odwdzięczyć. A przy okazji zrobić dobre wrażenie na Jagnie. Wszystkie wiadra napełnił wodą, a na progu domu zostawił dwa upolowanie zające i bukiet kwiatów. „Nic dziś tu po mnie", pomyślał. Jeszcze nie ruszył, a już postanowił: „Wrócę na pewno, wrócę niebawem." Wskoczył na koń i pojechał.

Wieczorem Jagna ze starym ojcem wróciła do domu.

– Zające? Kwiaty? Córcia! Ty wiesz coś o tym? – dopytywał starzec.

Jagna opowiedziała mu jak dzień wcześniej przyjęła na nocleg pewnego rycerza.

– Życzliwy z niego człowiek... no i niczego sobie ta zwierzynka – ojciec wskazał na zające. – Ale kwiaty to chyba nie dla mnie.

Wręczył Jagnie piękny, pachnący bukiet i zamyślił się: „Stary już jestem, może gdyby on tu wrócił, może..."

Tydzień nie minął, a do drzwi zapukał człowiek w zbroi:

– Tych kilka drobiazgów z Poznania panience przywiozłem, w podziękowaniu za przeszłą i przyszłą życzliwość – wręczył pakunek pełen świecidełek i smakołyków. – Jeśli znów mógłbym się przespać w stodole, będę szczęśliwy.

– Przyszłą... powiada pan – zaśmiała się Jagna. – Jak pan tak lubi naszą stodołę, zapraszam – uśmiechnęła się, wskazując mu drogę. – Różni tu ludzie do nas przybywają, ostrożnym być trzeba, powściągliwość moja z tego wynika. Was raczej obawiać się nie musimy, prawda?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił Kostro.

Rycerz zaglądał do chaty coraz częściej, a że ręce miał zwinne, w domu im pomagał. A tu drewna narąbał, a tam dach podreperował. Praca sama paliła mu się w rękach. Wolne chwile spędzał z Jagną. Zakochali się szybko. Co kilka dni regularnie bywał. Ale pewnego razu nie przyjechał.

– Tatku, czemu go nie ma? Już środa – martwiła się Jagna.

– O córuś, no nie płacz, nie płacz, do boju go gdzie może posłali, albo chory w gorączce leży – pocieszał ją ojciec, sam mając nadzieję, że to jednak nieprawda i Kostro wróci.

Dni mijały, a jego nie było. Jagna markotna chodzić zaczęła. Ojciec już w duchu złorzeczył:

– A niech go wilki pożrą, a niech niedźwiedź rozszarpie!

I już miał psy na nim wieszać… Patrzy…

– Jagna! To chyba Kostro jedzie! – zakrzyknął.

Tym razem Kostro nie był sam. Towarzyszyły mu trzy wozy i kilkoro ludzi. Widząc leśnika i Jagnę na progu, pocwałował wprost do nich. Pada do stóp kobiety i błaga:

– Wybacz najdroższa. Sprawy życia i śmierci mnie zatrzymały, ale teraz… – zawiesił głos, po czym zwrócił się do ojca:

– Widzisz dobry człowieku te wozy? Majątek swój spieniężyć musiałem: jedno wydzierżawić, inne sprzedać, jeszcze inne na wozy spakować. I zajęło mi to dłużej niż przypuszczałem. O rękę córki proszę! Ona jest moim życiem lub śmiercią – cały swój dobytek przywiozłem. Już nie chcę żyć z dala od niej. Tu z wami, na tej ziemi pragnę zamieszkać. Nie uprzedzałem, bo miała to być niespodzianka. Pozwolenie księcia na budowę domostwa i założenie tu osady zdobyłem.

Ojciec rozradował się:

– Chcesz się Kostro żenić? To się żeń! Rad będę mieć cię za zięcia.

I tak to córka leśnika została żoną dzielnego rycerza Kostry, który wiedziony silną miłością osadę swoją o nazwie Kostrzyn zbudował. Po dziś dzień znajdziecie w Kostrzynie ludzi o rycerskim usposobieniu: dobrych, odważnych i pracowitych. A panny najpiękniejsze w całym województwie, trochę harde i odrobinę pyskate… To z pewnością potomkowie rycerza Kostry i jego urodziwej małżonki Jagny. ♦



KÓRNIK

O BIAŁEJ DAMIE Z ZAMKU **W KÓRNIKU**

Dzieje zamku w Kórniku zaczęły się pod koniec średniowiecza, w połowie XV wieku. W pięknej okolicy, nad jeziorem, ród Górków – jeden z najpotężniejszych w Wielkopolsce – wzniósł murowany zamek.

Na wyspę otoczoną fosą dostać się można było tylko przez zwodzony most i spuszczaną, kutą kratę. To położenie docenił nawet sam król Henryk Walezy. Zatrzymał się tu w drodze na koronację do Krakowa. Także Zygmunt III Waza, odwiedzając zamek, zabrał tu ze sobą żonę i syna – co znaczy, że nie obawiał się o ich bezpieczeństwo.

Z czasem budowla popadła w ruinę. W okolicznych karczmach, przy kuflu piwa różne można było usłyszeć opowieści:

– Tam, w zamku na wyspie, skarb jest ukryty! To wielkie kosztowności Górków! Gromadzili je przez lata! – mówiono.

– Jakim cudem nikt jeszcze tego skarbu nie zabrał? – zachodzili w głowę przyjezdni.

– Idźcie i sami zobaczcie! – radzili im miejscowi. – Pod ruiną znajdziecie przepastne lochy. Ale uważajcie. Te skarby są przeklęte! Mówi się, że klątwa spadnie na każdego, kto spróbuje je zrabować. I pamiętajcie, jak dotąd nikt z tych, którzy wybrali się na poszukiwania skarbu Górków, do domu już nie wrócił!

A jednak od czasu do czasu znajdowało się kilku śmiałków, którzy wyruszali po skarby i niestety… ginęli bez wieści. W końcu zabrakło odważnych. A czas mijał.

Sąsiadujący z Kórnikiem Bnin pochwalić się mógł prężnie działającą parafią. Pewnego razu tamtejszego proboszcza olśniła genialna myśl: „Skoro skarbów nie można siłą wydrzeć, to może zdjąć tę klątwę?”

Zawołał organistę:

– Słuchaj no, tu jest napisane, że… – pokazał mu stare księgi. – „Klątwa może być zdjęta, jeżeli w miejsce, gdzie przeklęty skarb leży, uda się procesja i tam msza święta będzie odprawiona”. Co o tym myślisz? – zapytał.

– Dobrze, zróbmy tak – zgodził się niepewnie tamten.

– Zatem, niech kto żyw w niedzielę w południe pod kościołem się stawi! – polecił duchowny.

– No, w końcu rozwiążemy problem klątwy, a część skarbu na remont dzwonnicy przeznaczym – powiedział rezolutny pleban, dumny ze swojego planu.

Trzódka przybyła, jak proboszcz nakazał. Ale czy chętni byli zmierzyć się z mocami nieczystymi? O nie, co to, to na pewno nie! Większość ze strachu ledwo nogami powłóczyła.

– Odwagi bracia! Po powrocie będziemy bogaci! – dodawali sobie nawzajem otuchy i dreptali za plebanem.

Procesja w końcu dotarła na miejsce. Ksiądz czym prędzej mszę chciał zacząć odprawiać. Zagląda do torby…

– Nie! Zapomniałem! – krzyczy.

W księżej torbie nie było stuły. A moce nieczyste tylko na to czekały. Niewidzialnymi widłami zaczęły kłuć, gonić i przeganiać uczestników procesji. Strach było patrzeć na to, co się tam działo. Wierni pouciekali do domów. Zaryglowali drzwi i wiele dni jeszcze w strachu żyli. Proboszcz godzinami przesiadywał w kościele, modląc się i rozpamiętując:



– Jak to możliwe? Zapakowałem przecież wszystko! A moi biedni wierni? Cierpią przeze mnie. Te moce nieczyste nastraszyły ich nie na żarty! – szeptał do siebie.

W pewnej chwili jakby nowa moc w niego wstąpiła. Wstał z kolan i woła:

– Co to, to nie! W mojej parafii nie będzie diabeł rządził! Spróbuję raz jeszcze! – postanowił.

I rozpoczął przygotowania do kolejnej wyprawy. Tym razem osobiście swój ekwipunek trzy razy sprawdził. Co prawda liczba uczestników procesji skurczyła się znacznie, ale znalazło się tych kilka gorliwych owieczek, które za swym proboszczem nawet w ogień piekielny pójść są gotowe. Kilku było wprawdzie też takich, których raczej przyszłe bogactwo do odwagi zagrzało.

Dotarli pod zamczysko. Już mają mszę świętą odprawiać. Pleban zawartość torby nerwowo przeszukuje.

– Mszał! Gdzie jest mszał!? – krzyczy.

Upadł w rozpaczy na ziemię i począł się modlić, aby dobry Bóg pozwolił wiernym z miejsca przeklętego w spokoju się oddalić.

– Uciekajcie! Wszyscy do domów! Szybko! – polecił przybyłym.

Tłum w mgnieniu oka się rozbiegł.

Kilka miesięcy później nastąpiła ostatnia, jak się później okazało, próba.

– Wiernych już więcej narażać nie będę – powiedział proboszcz do wikarego. – Pójdziesz tylko ty i ja. A, że w trzech raźniej nam będzie, zabierzmy jeszcze organistę.

Każdy z nich sprawdził czy spakowali wszystko, co potrzebne. Pewni, że nie brakuje niczego – wyruszyli. A wiecie, jak to jest – diabły różne psoty wyczyniają. Taka ich natura. Ksiądz o gałąź zahaczył. Hostia do konsekracji i ampułka z winem wysunęły się z tobołka. Mszy świętej znów nie odprawili.

Moc diabelska nie została zniszczona. Skarby zapadły się chyba głęboko pod ziemię, a ruiny zamczyska otaczać zaczęła jeszcze gorsza sława. Proboszcz niebawem dni swych dokonał. Nie było komu walczyć z mrocznymi siłami. Włodarze ziem się zmienili. Ród Górków wygasł w XVI wieku. Teraz to Działyńscy sprawowali pieczę nad okolicznymi dobrami i nad zamkiem w Kórniku również.

Pewnego razu zdarzyła się wielka tragedia. Pożar, który wybuchł w mieście, strawił praktycznie wszystkie budynki. Ludzie potracili dobytek całego życia.

– Pomrzemy niechybnie – mówiono.

– Chałupy spalone. Zima zbliżała się wielkimi krokami. Oj, wielkie żniwo śmierć zbierze, wielkie! – rozpaczały kobiety, z lękiem myśląc o dzieciach. – Jedyna nadzieja w naszej hrabinie. – Może ona coś poradzi.

A pani, w której mądrość lud wierzył, była to Teofila Działyńska. O, co to była z kobieta! Istna osiemnastowieczna bizneswoman! Sprawnie zarządzała dużym majątkiem. Do tego wykształcona, odważna i nowoczesna. Wielu się w niej ówczesnych mężczyzn kochało, a i ona od nie zawsze roztropnych miłości nieraz uciekała.

Dotarły do niej lamenty poddanych. Wezwała więc swoich doradców:

– Byłam przejść się po zniszczonym mieście. Serce się kraje na widok nędzy, wywołanej tym pożarem. Ale mam pomysł, jak poddanym dach nad głową zapewnić i podobnym nieszczęściom zapobiec. Powinniśmy zdążyć zanim nadciągnie zima.

Zaciekawieni nadstawili uszu, ale temu, co usłyszeli, wierzyć nie chcieli:

– Rozbierzcie ruiny zameczku przy jeziorze. Cegły przekażcie nieodpłatnie mieszkańcom – rozkazała pani. – Niech odbudują domy i postawią kominy murowane. Może dzięki temu unikniemy dalszych pożarów.

– Ale klątwa, o pani! – mówili zatroskani.

– Tych upiorów nie da się przepędzić! – próbowali ją powstrzymać.

– Ja w zabobony nie wierzę – odpowiedziała.

To fakt. Hrabina znana była z tego, że co postanowi, to wykona. Już niedługo wynajęte ekipy stanęły przed zaniedbanym zamkiem. Prace szły sprawnie. Co prawda skarbca pełnego nieprzebranych okazów nie odnaleziono, ale dzięki uzyskanemu budulcowi odnowiono zniszczone miasto. Zaś upiorów jak nie było widać, tak nie było.

Na rozebraniu starych ruin hrabina nie poprzestała. Przebudowała zamek w Kórniku. Zamieniła go w barokową rezydencję z pięknym ogrodem. Dbała o drogi, mosty i wiatraki. Na Jeziorze Kórnickim zbudowała tamy. Z jej inicjatywy w Kórniku założono manufakturę płócienniczą i hodowlę jedwabników. Nie bała się inności i nie wierzyła w zabobony. Do swoich posiadłości sprowadziła protestanckich kolonistów niemieckich, nazywanych olędrami i ufundowała w Bninie luterański

zbór. Lata mijały. Wszystko wskazywało na to, że biesy nie dopadną już hrabiny, która zniszczyła ich siedzibę. Hrabina doczekała swych sędziwych lat i odeszła na drugą stronę bez udziału niewytłumaczalnych zjawisk. Tak myśleli wszyscy. A jednak, widać, pomylili się…

Czas jakiś temu – nikt nie pamięta kiedy – wydarzyło się coś dziwnego. Jedna z mieszkanek zamku nie mogła zasnąć. Szła właśnie korytarzem, chcąc przygotować sobie ciepłe mleko, gdy nagle stanęła jak wryta:

– Duch! – wyrwało się jej z ust, które natychmiast zasłoniła dłonią.

Kilka metrów od niej przeszła dama w białej sukni, której dół podtrzymywała dłonią. Zeszła wprost na taras.

„Ukryję się za zasłoną i zobaczę, co się stanie", pomyślała kobiecina. Wybiła północ, gdy do spacerującej po ogrodzie zjawy dołączył rycerz na czarnym koniu. Do świtu krążyli razem po ogrodzie i czegoś szukali. Gdy jutrzenka zaczęła pojawiać się na niebie, on odjechał na swym rumaku, a ona… weszła do portretu.

Oszołomiona tym dziwnym spotkaniem kobieta, wróciła następnego dnia przyjrzeć się postaci z obrazu.

– Teofila Działyńska – wyszeptała. – Jestem pewna, że to ją widziałam.

Wieść o krążącym po zamku duchu lotem błyskawicy rozniosła się po okolicy. Ze względu na ubiór, zaczęto ją nazywać Białą Damą. Kim jest rycerz na czarnym koniu? Może duchem jednego z wielu, za to wiernego, kochanka hrabiny? Podobno mara krążyć będzie po kórnickim zamku tak długo, aż odnajdzie skarbiec poprzednich właścicieli, ale z tego co ludzie gadają, zapadł się on do samego piekła. To już lepiej dla niej, żeby ona go w Kórniku o północy szukała…

Od tamtej pory, co rusz ktoś widuje Białą Damę. Ale, ale! Nie każdy kto zechce ją zobaczyć, dostępuje tego zaszczytu! Spotkanie z duchem zarezerwowane jest dla wybranych, którymi duch postanowił się opiekować. A kto jest tego godzien? Może Tobie się uda? ♦

12



KRAJENKA

KRAJ I ANKA

Strudzony wojami i długoletnią służbą dla księcia, osiadł rycerz Izydor z żoną Domisławą wśród pól i nieprzebytych lasów nad Głomią. Wraz z kilkorgiem sług zajmował się wypasem bydła i owiec, uprawą zbóż, myślistwem i bartnictwem. Pan Bóg nie dał im syna, lecz tylko jedną córkę, której na chrzcie świętym dano imię Anna.

Anka, bo tak ją nazywano od dziecka, starała się zastąpić rodzicom syna. Nie tylko uczyła się zajęć domowej gospodyni, ale nauczyła się też jazdy konnej i posiadała umiejętność wykonywania wszystkich obowiązków i prac tradycyjnie przydzielanych mężczyznom. Bardzo się to przydawało, bo ojciec coraz częściej niedomagał i trzeba go było zastępować przy różnych obowiązkach w gospodarstwie.

Z czasem Anka wyrosła na dobrą, piękną i pełną wdzięku pannę. Dzięki pracy i zapobiegliwości całej rodzinie żyło się dostatnio i prawie szczęśliwie. Jedynym zmartwieniem spokojnych mieszkańców okolicy nad Głomią i przejeżdżających tamtędy kupców były częste napady zbójców,



którzy wśród rozległych bagien i rozlewisk mieli swoje siedziby. Od osiadłych mieszkańców ściągali nienależne daniny. Kupców zaś łupili i zabijali.

Niespokojne wieści o tych okrucieństwach docierały aż do dalekiej Kruszwicy, będącej siedzibą panującego księcia. Książę postanowił zbadać stan zagrożenia i na ziemie nad Głomią wysłał swojego najstarszego syna, roztropnego i dzielnego Kraja. Przebrany za kupca, Kraj wraz z drugim młodym rycerzem, przedzierali się konno po bezdrożach, by po kilkunastu dniach znaleźć się w okolicy, gdzie obecnie znajduje się miasteczko Krajenka.

Po nakarmieniu koni rozpalili ognisko, spożyli posiłek i położyli się do snu. Byli tak zmęczeni, że natychmiast zasnęli kamiennym snem. Nie zauważyli, że są obserwowani przez rozbójników. W brzasku budzącego się dnia zostali napadnięci. Nie mogli już podjąć skutecznej obrony. Tchórzliwi zbójcy potraktowali ich okrutnie, a konie i juki zrabowali.

Kilka chwil później, w pobliżu miejsca tego zdarzenia przejeżdżała Anka, wiozące pożywienie dla pasterzy, którzy opodal pilnowali stad bydła i owiec. Nagle koń pod nią stanął, zaczął chrapać i strzyc uszami. Oznaczało to, że w pobliżu znajduje się coś nadzwyczajnego. Mimo pewnej trwogi, Anka ujęła w prawą rękę zawieszony u siodła topór i spięła konia, zmuszając go do ruszenia w miejsce, które wzbudziło niepokój zwierzęcia.

Za chwilę ujrzała miejsce napadu. Zeskoczyła z konia i przybliżyła się do leżących. Jeden z nich już nie żył – miał roztrzaskaną głowę, drugi dawał słabe oznaki życia. Sprawnie zatamowała mu krew i przewiązała rany. Z wyciętych toporem pędów leszczyny i wierzby sporządziła płozy, wymościła je trawą i tatarakiem, a następnie przywiązała do siodła. Ułożyła poranionego rycerza na płozach i powoli przyciągnęła do domu.

Przy pomocy domowników, rannego ostrożnie przeniesiono do izby i złożono na miękkim posłaniu. Przez parę dni wydawało się, że Kraj już nie odzyska przytomności. Tylko matka Anki wiedziała z jakich to ziół robiła napary, które po trochu wlewała mu do ust. Kraj wciąż gorączkował i nieprzytomnie majaczył. Wreszcie któregoś dnia otworzył oczy, rozejrzał się po otoczeniu i powtórnie zasnął. Od tego czasu jednak spał spokojnie. Przy następnych przebudzeniach był już karmiony, ale w tak małych ilościach jakby był niemowlęciem.

Z czasem młody organizm zwyciężył. Kraj powoli wracał do zdrowia. Chętnie i coraz więcej jadł. Czuwanie przy zdrowiejącym Kraju, w miarę wolnego czasu, bardzo chętnie przejmowała Anka.

Mijały miesiące. Między młodymi zawiązała się płomienna miłość. Kraj nie wyznał jednak, że jest synem panującego księcia. Po długim czasie, kiedy poczuł się już na siłach, poprosił rycerza Izydora, aby użyczył mu konia i stosownych do podróży szat. Izydor nie tylko spełnił jego życzenie, ale nadto przydzielił mu do opieki najlepszego sługę z koniem i zbroją. Kraj oświadczył, że najpierw odwiedzi rodzinne strony, a następnie wróci do swoich wybawców.

Długo oczekiwano na powrót Kraja. Nie wracał również wysłany sługa. Zaczęto się niepokoić i snuć przypuszczenia, że znów stało się coś niedobrego. Wreszcie, po prawie dwóch miesiącach oczekiwania, do zagrody rycerza Izydora zbliżył się liczny orszak bogato odzianych i uzbrojonych rycerzy oraz liczne zaprzęgi konne. To sam panujący książę ze swoją rodziną, dworem i zbrojnym orszakiem przybył, aby podziękować za ocalenie syna i prosić starego rycerza o rękę Anki dla Kraja, który to jej właśnie zawdzięczał uratowanie życia.

Oświadczyny oczywiście przyjęto i wkrótce odbyły się huczne zaślubiny Anki z Krajem. Na wzgórzu, gdzie z czasem powstał zamek, a później kościół św. Anny, pobudowano obronny gród. W nim zamieszkała młoda para wraz ze starymi rodzicami Anki. W pobliżu grodu niebawem powstało osiedle, dające początek miastu o charakterze rzemieślniczo-handlowym.

Od Kraja i Anki nazwano je Krajanką, a później Krajenką. Topór, którym przy ratowaniu życia Kraja posłużyła się, dzielna córka starego rycerza, stał się herbem miasta i widnieje w nim do dzisiaj. Rozbójników wytępiono i odtąd przejeżdżające tędy karawany kupców i pracowici, spokojni mieszkańcy czuli się bezpiecznie. Sprzyjało to rozwojowi miasteczka i okolicy. Chętnie osiedlali się tu przybysze z odległych stron. Kraj i Anka żyli długo i szczęśliwie, zapewniając Krajence i okolicy rozkwit, a mieszkańcom upragnione bezpieczeństwo i odpowiednie warunki do spokojnego życia. ♦

13



KRAMSK

LEGENDA O GŁAZIE **ANIELEWSKIM**

Legenda opowiadająca wydarzenia związane z pojawieniem się w Anielewie olbrzymiego głazu sięga połowy XIX wieku. Wtedy to w Lesie Grąblińskim, oddalonym zaledwie o cztery kilometry od miejscowości, w której głaz spoczywa, znajdował się obraz Matki Boskiej Licheńskiej, zawieszony na sośnie w roku 1842 przez kowala i uczestnika bitwy pod Lipskiem – Tomasza Kłossowskiego. W tym miejscu, w 1850 roku, pasterzowi z Grąblina – Mikołajowi Sikatce, objawiła się Matka Boża Bolesna Królowa Polski. Maryja poleciła, aby cudowny obraz przenieść z drzewa, gdzie nieustannie narażony był na deszcz, śnieg, mróz czy intensywny wiatr, do miejsca ciepłego i suchego. W roku 1852 zbudowano więc przy drodze kapliczkę, którą ufundował zarządca majątku Licheń, Ignacy Wiśniewski. Następnie w tejże kapliczce umieszczono cudowny obraz.

Wieści o objawieniu rozeszły się bardzo szybko. W krótkim czasie rozgłos tego miejsca wykroczył daleko poza granice województwa i ludzie zaczęli pielgrzymować do Lasu Grąblińskiego. Zanosiło się na to, że powstanie tutaj drugi w Polsce (zaraz po Częstochowie) ważny dla wszystkich chrześcijan ośrodek kultu. Nie spodobało się to samemu władcy piekieł – Lucyferowi. Postanowił,



iż doprowadzi do zniszczenia obrazu, aby ludzie przestali odwiedzać to miejsce. Początkowo myślał o spaleniu całego lasu. Jednak przypomniał sobie, że to niedoskonałe rozwiązanie – bywało, że ze spalonych kościołów ludzie wynosili cudownie ocalone obrazy. Wpadł więc na inny pomysł – zrujnowanie kapliczki z obrazem za pomocą ogromnego głazu zrzuconego z dużej wysokości. Głazu tak wielkiego, aby nikt nigdy go nie uniósł i nie wydobył choćby szczątków wizerunku. Po odnalezieniu odpowiedniego olbrzyma, wybrał największego i najsilniejszego diabła z całych piekielnych czeluści. Zlecił mu zadanie, aby pod osłoną nocy zniszczył obraz. Czart chętnie zgodził się na wykonanie polecenia. Chwycił głaz w szpony i poleciał nad Las Grąbliński. Gdy był już nad kapliczką, wzleciał tak wysoko, jak tylko mógł, po czym wypuścił z łap ogromny kamień. Wydawało się, że nic nie uratuje cudownego obrazu przed zniszczeniem.

Nagle nad kapliczką pojawiły się cztery anioły zesłane z niebios przez Matkę Bożą. Pochwyciły one głaz rzucony przez diabła, a następnie przeniosły go do lasu w pobliskiej miejscowości i tam ukryły. Pomimo tego, że wydarzenia rozgrywały się w środku nocy, anioły chwytające ogromny głaz tuż nad kapliczką zostały dostrzeżone przez miejscowego pasterza. Opowiedział on całej lokalnej społeczności o wydarzeniach, które miały miejsce wtedy, gdy wszyscy mieszkańcy smacznie spali. Nadzwyczajnie uratowany przed zniszczeniem obraz Matki Boskiej Licheńskiej został przeniesiony do kościoła św. Doroty w pobliskim Licheniu, gdzie solidne mury zapewniały mu odpowiednią ochronę.

Niecne plany władcy piekieł nie powiodły się. Jednak Lucyfer nie pogodził się z poniesioną porażką. Niejednokrotnie podejmował różne próby, aby zniszczyć tak licznie odwiedzane miejsce poświęcone Maryi. Jednak anioły, z pomocą Matki Bożej, zawsze doprowadzają jego plany do klęski.

Na pamiątkę tamtych wydarzeń miejscowość, w której do dzisiaj spoczywa olbrzymi głaz, nazwano Anielewem. ♦

14

KRASZEWICE

GDZIE JEST **KOT ALI?**

Zanim rzeka Łużyca dotrze do Kraszewic – siedziby gminy i jednej z najstarszych miejscowości ziemi ostrzeszowskiej – przepływa przez Kuźnicę Grabowską. Kilkusetletnia wieś nazwę bierze od kuźnicy, dawnej huty żelaza. Na przestrzeni wieków okolica zaznała i dostatku, i głodu, widziała bunty chłopskie i bitwy Powstania Styczniowego, był tartak i młyn, stawy rybne, bujne łąki i lasy. Przed drugą wojną światową dobra te trafiły w posiadanie rodziny Oxnerów.

W kuźnickim dworku, niegdyś siedzibie rodu, mieści się dziś Muzeum Elementarza im. prof. Mariana Falskiego. Dlaczego właśnie tam? Żoną Falskiego była Irena Regina Oxnerówna, córka właściciela Kuźnicy. Choć Falscy mieszkali w Warszawie, często bywali w rodzinnych stronach Ireny z okazji świąt lub na letniskach.

Mariana Falskiego, znakomitego pedagoga i społecznika, pioniera psychologii dziecięcej, znają chyba wszyscy jako autora słynnego elementarza. Po raz pierwszy wydano tę książkę w 1910 roku, jeszcze pod zaborami, potem doczekała 80 kolejnych wydań.

Falski całe życie doskonalił i redagował podręcznik. Pewnego razu, podczas kolejowej podróży do Kuźnicy Grabowskiej, pracował nad zmianami w książce. Irena – pierwsza czytelniczka i redaktorka wszystkich wersji elementarza – zlitowała się wreszcie nad mężem.



– Chodźmy na kawę. Musisz chwilę odpocząć. – Falski spojrzał nieprzytomnie znad redagowanych stronic, a po chwili wahania przyznał żonie rację.

W wagonie restauracyjnym było gwarno, a ponad głosy podróżnych wybijał się szczególnie jeden, dziecięcy:

– Mamusiu, ja chciałam pieska! Nie będę się bawić z tym kotkiem, nie chcę!

– Alu, kochanie, tak nie można.

Z koszyka, który stał pod stolikiem mamy i córeczki, dobiegło zniecierpliwione miauknięcie. W środku najwyraźniej był kot! Kot, który chyba słyszał, o czym jest mowa, i pewnie bardzo dobrze to rozumiał. A może – jak to zwierzęta – po prostu wyczuł niechęć dziewczynki i już w tamtej chwili podjął w swej kociej głowie pewną bardzo odważną decyzję.

– On też nie chciał się ze mną bawić! – dziewczynka uparcie przekonywała mamę do swoich racji.

– Alu – wyjaśniała cierpliwie mama – kotek nie jest zabawką i nie wzięłam go po to, byś stroiła go w kokardy i woziła w wózku. Zamieszka z nami i będzie miał swoje zadania w naszym domu.

Falscy, rozbawieni i zaciekawieni tą wymianą zdań, przysłuchiwali się jeszcze przez chwilę rozmowie mamy i córki. Dyskusja traciła zresztą impet. Wobec łagodnej stanowczości mamy mała Ala już tylko dwa razy, i nie tak gwałtownie, wyraziła swoje zdanie o wyższości psów nad kotami. Zajęła się swoją lalką, mama mogła wreszcie odetchnąć. Kot także nie zabierał więcej głosu w rozmowie.

Mama Ali zamieszała wystygłą kawę i zwróciła się przepraszająco do Falskich:

– Zechcą państwo wybaczyć, że chcąc nie chcąc musieliście nas wysłuchać – uchyliła nieco pokrywę kosza, z którego wyjrzał piękny, wąsaty kocur. – Dostałam go od ciotki, mieszkamy nad sklepem i mamy plagę myszy, nie wiedziałam już, jak sobie poradzić…

– Proszę się nie sumitować, jesteśmy pełni szacunku dla pani cierpliwości – odrzekł z uśmiechem Falski. – A rozmowa była, no cóż, dość inspirująca.

Obie panie – mama Ali i Irena Falska – spojrzały na niego ze zdziwieniem. Falski nie zdążył jednak wyjaśnić, o co mu chodziło. Przez wagon przeszedł konduktor, wołając, że pociąg już za chwilę zatrzyma się na stacji. Trzeba było wracać do przedziału. Falscy pożegnali się w pośpiechu z mamą Ali i z dziewczynką.

Na peronie był duży tłok, ruch, zamieszanie. Gdzieś pomiędzy głowami podróżnych i bagażowych mignął jeszcze Falskim elegancki kapelusik mamy Ali, ale zajęli się już swoimi sprawami. Przed budynkiem dworca czekał na nich powóz, wysłany z kuźnickiego dworku po gości. Minęło kilka dobrych chwil, nim wszystko zapakowano i ruszono w drogę do Kuźnicy.

– Miałam cię pytać, o co ci szło, kiedy powiedziałeś tej pani, że jej rozmowa z córeczką była inspirująca – przypomniała sobie nagle Falska.

– Ala powinna jednak mieć pieska – odpowiedział zamyślony Falski.

– Tak uważasz? Nie za mała jest jeszcze? Nie wiem, czy tak mała dziewczynka wzięłaby za psa odpowiedzialność. Mogłaby zamęczyć zwierzę zabawami – wątpiła żona.

– Ach, nie ta, nie o nią idzie – zaśmiał się Falski. – Pomyślałem o mojej Ali!

Widząc osłupienie żony, pośpieszył z wyjaśnieniem:

– O mojej Ali w elementarzu. Ona powinna mieć psa, nie kota. I dam mu na imię As.

– Miau! – spomiędzy bagaży dało się nagle usłyszeć coś jakby miauknięcie. Po chwili znów, i jeszcze. Falscy spojrzeli na siebie. Nie było wątpliwości, to nie zawieszenie powozu wydawało te dźwięki. Gdzieś tu musiał być kot!

– Niech Wojtek zatrzyma – zawołała Irena do woźnicy. Wysiedli wszyscy, a Wojtek zaczął wyjmować bagaże. Wtem, zza wiklinowego kufra wyjrzał wąsaty pyszczek.

– A ty skąd się tu wziąłeś?! – woźnica już chciał przegonić zwierzę, ale Irena powstrzymała go.

– Zostawcie. Pojedzie z nami do Kuźnicy. Nie do wiary, co za spryciarz, musiał się wymknąć z koszyka gdzieś na peronie. Ciekawe, że wybrał właśnie nas.

Kot razem z Falskimi zajechał do Kuźnicy i został pełnoprawnym mieszkańcem dworu. Chodził własnymi ścieżkami, jak to kot, i dożył sędziwego wieku. Gdyby mógł mówić, powiedziałby pewnie, że średnio mu zależy na uwiecznianiu w jakichś tam opowiastkach dla dzieci, i że skoro niektórzy wolą psy, to ich strata, pfff.

A jednak – w kuźnickim muzeum do dziś stoi figurka kota. Podobno, jeśli podrapie się go za uchem, może spełnić życzenie. Ale jest dość kapryśny, więc wybiera tylko te, które mu się podobają – tak jak wybrał sobie nowych właścicieli. Macie ochotę sprawdzić, jak zareaguje na Wasze życzenie? Przyjedźcie do Kuźnicy. ♦

15

LIPKA

O FRYWOLNYCH **SIOSTRACH**

Każde miejsce kryje w sobie powieść historię, której zręby przetrwały w zbiorowej świadomości, kształtując ją i stając się jej częścią. Dzieje miejscowości Lipka, sięgają XV wieku, kiedy to obszar Wielkopolski porastały gęste bory, pełne zwierzyny i jagód. Przy szlakach handlowych rozwijały się miasta i miasteczka, a w ich okolicach mnożyły się wsie poprzecinane przez pola pełne zbóż i owocowe sady.

Opowieść o gminie Lipka jest historią o trzech siostrach mieszkających w tej pięknej okolicy. Pierwsza z nich – Ludmiła miała głowę pełną fantazji, chciała spróbować z życiu wszystkiego. Marzyła o przystojnych kawalerach, pięknych powozach i drogich sukniach.

– Chciałabym wykąpać się w wannie pełnej płatków róż – rzekła pewnego razu.

I natychmiast wysłała służki do lasu, na pola i za opłotki, aby naznosiły jej kwiatków. Służba szykowała kąpiel i obawiała się, co jeszcze nowego Ludmiła wymyśli. A pomysłów jej nie brakowało. Wraz z młodszą siostrą uzupełniały się idealnie. Sława była z kolei uosobieniem wolności. Uwielbiała przestrzeń. W pomieszczeniach czuła się przyduszona, dlatego każdą wolną chwilę spędzała



na podróżowaniu. Wrodzony dar zjednywania ludzi pozwalał jej błyskawicznie zawierać znajomości. Udawała się na targ i wracała przynajmniej z kilkoma propozycjami towarzyszenia kupcom w ich dalekich wyprawach po towary. Nie odmawiała nigdy.

– Kiedy mam korzystać z życia, jak nie teraz?! – tłumaczyła. – Młoda jestem. Zanim siły życiowe stracę, chcę poznać świat i jego uroki.

Często zabierała swoje siostry i wszystkie trzy beztrosko poznawały dalekie strony na koszt kupców i rycerzy, starających się o ich względy. Bawiły się tam, hulały, tańczyły i łamały serca.

Najpiękniejsza z całej trójki była Dorota – najmłodsza. Jej śniada cera i długi złoty warkocz przykuwały uwagę każdego, kto choćby raz na nią spojrzał. Była przy tym promienna jak słońce w samo południe. Delikatność i pewność siebie, a nawet pewnego rodzaju wyrachowanie, tworzyły uroczą mieszankę. Takim wielki zachwytem była właśnie Dorota. Już od najmłodszych lat nie mogła się opędzić od amantów. Świadoma swojej urody, skwapliwie wykorzystywała zadurzonych w niej mężczyzn. A była przy tym kochliwa.

– Franku – umawiała się z jednym – spotkajmy się dziś do południa przy studni, pomógłbyś mi może troszeczkę?

Już kila godzin później zapominała o zaradnym Franku, wzdychającym pod jej oknem i zmieniała obiekt westchnień:

– Janku, chętnie przyjmę twe zaproszenie na tańce – odpowiadała z radością kolejnemu. – Nie znam tancerza równego tobie!

Żyły sobie trzy siostry frywolnie, nie myśląc poważnie o życiu. A lata mijały i mijały. Kobiety zaczęły zauważać pierwsze zmarszczki w kącikach oczu, potem kolejne wokół ust i na czole. Ilość adoratorów starających się o ich względy coraz bardziej malała. Pewnego wieczoru, co się raczej rzadko zdarzało, siedziały razem przy kominku.

– Czuję się zmęczona tymi ciągłymi zabawami – zaczęła Ludmiła.

– Chyba cię rozumiem, bo i mnie nie chce się już ciągle podróżować – dodała Sława, wzdychając przy tym głęboko.

– Drogie siostry, może po prostu się starzejemy? – zapytała je Dorota.

– Co ty o tym wiesz! Jesteś najmłodsza! – prychnęła Ludmiła.

– Nie kłóćcie się! – uspokajała Sława. – Faktem jest, że szalałyśmy i bawiłyśmy się przez te wszystkie lata, nie zastanawiając się za wiele, co będzie z nami na stare lata?

Prawda była taka, że wszystkie już dawno przekroczyły czterdziestkę, a Ludmile minęło pół wieku i może właśnie z racji na wiek była tamtego wieczoru najbardziej refleksyjna.

– Myślałam o tym, aby zrobić coś dobrego dla innych ludzi – stwierdziła. – Strwoniłyśmy tyle lat kręcąc się tylko i wyłącznie wokół własnych zachcianek. Szłam dziś rano od Maciaszkowej. Zaczepiła mnie kobiecina. Chuda, blada, cała w łachmanach. Nieśmiało prosiła o grosz na jedzenie dla dzieci. Spojrzałam jej w oczy i przypomniałam sobie, że ją znam. Jej mąż był kiedyś kupcem, ale zmarł i została sama bez środków do życia z piątką dzieci. Takich kobiet jak więcej.

– Masz rację. Nam nigdy nie brakowało na jedzenie a i na zachcianki było nas stać. Zróbmy w życiu coś pożytecznego – rzekła Sława.

– Swoim zachowaniem skrzywdziłam uczucia niejednego – westchnęła Dorota. – Też chciałabym to jakoś naprawić.

Siostry uradziły, że będą pomagać biednym i zabrały się do pracy. Wzięły pod swoje skrzydła wdowy, chorych i starców. Nieraz można je było zobaczyć, jak rozdawały żywność albo pośredniczyły w znalezieniu pracy. Pomoc tak im się spodobała, że nie zajmowały się już niczym innym.

Kiedy po wielu latach ponownie usiadły przy kominku ich twarze, mimo że pomarszczone, szczerze uśmiechały się do minionych lat. Ludmił, już bardzo podeszła w latach, zapytała:

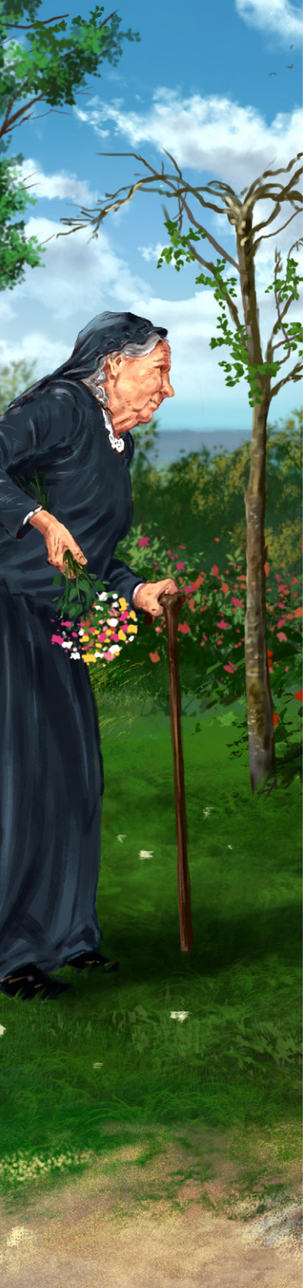
– Myślicie, że Bóg odpuści nam nasze winy? Zastanawiam się czy wybaczy, że przez wiele lat byłyśmy tak egoistyczne i nie dbałyśmy o innych ludzi?

– No, ja myślę, że tak… chyba. Jeśli jest dobry tak, jak mówią… – rzekła niepewnie Dorota.

– A wiecie co ja myślę? – wtrąciła się Sława. – Że wybaczy nam tylko wówczas, gdy posadzimy na naszych grobach lipy i to korzeniami do góry!

– Hahaha… hahaha! – Siostry zareagowały na pomysł gromkim śmiechem.

– Zróbmy to! – podchwyciła Ludmiła. – Ja umrę niebawem. Na mojej mogile posadźcie lipę korzeniem do góry. Jeśli drzewo się przyjmie, znaczyć będzie, że Bóg mi wybaczył.



Ludmiła odeszła pierwsza, a siostry spełniły jej ostatnią wolę. Kiedy nadszedł również ich czas pożegnania się ze światem, w identyczny sposób kazały posadzić lipy na swoich mogiłach.

Każdy zdrowo myślący człowiek odpowie, że takie drzewa nie miały prawa się przyjąć. A co Wy myślicie? Jak było?

Sadzonki niby rosły, potem przysychały. Ta nierówna walka życia ze śmiercią trwała dobrych kilka lat. Po jakimś czasie nie było już widać mogił, za to rosły na nich trzy dorodne lipy i każda z nich… korzeniami do góry. Bóg okazał się dla sióstr miłosierny, odpuścił im winy i wybaczył frywolną młodość.

Od tego dziwnego i niewiarygodnego wydarzenia wieś zaczęto nazywać Lipka. W gminie i okolicach dziś również znaleźć można wiele pięknych, rozłożystych lip. Czy któreś z tych drzew pamięta jeszcze czasy trzech sióstr? Sami sprawdźcie! ♦

16

MIEŚCISKO

O GŁAZIE ŚW. WOJCIECHA

Był sobie głaz. Stary niczym świat. Obserwował życie pierwszych tutejszych osadników. Widział, jak obok niego maszerowały armie różnych państw, epok i konfliktów. Tkwi w tym samym miejscu od bardzo dawna, przynajmniej od końca ostatniego zlodowacenia – co znaczy, że liczy sobie 11 tysięcy lat.

Widzieliście tego giganta? Dziś dumnie prezentuje się we wsi Budziejewko, w gminie Mieścisko. Ma imponujące rozmiary. Wyobraźcie sobie! W obwodzie 20 metrów, w średnicy aż cztery metry. W dodatku część, którą widzimy, to zaledwie jedna trzecia tego, co kryje się pod ziemią!

Spośród tysięcy ludzkich historii, które widział głaz, jedna jest szczególna. A to dlatego, że dotyczy samego świętego Wojciecha.

Działo się to dawno, dawno temu. Dzień z pozoru wydawał się spokojny, kobiety oporządzały domy i zwierzęta, mężczyźni szykowali się, aby sidła na drobną zwierzynę porozstawiać. Panowało jednak jakieś gorączkowe podekscytowanie. Wszyscy na coś czekali.



– W wieku 27 lat został biskupem Pragi?! To musi być krześcijanin mądry! – mówiły między sobą kobiety.

– Podobno i tu zawita – przeżegnała się pobożna chłopka. – Kupcy mówili, że już jest u księcia Bolesława. Wędrując z Gniezna do Prusów na pewno przyjdzie głosić Słowo Boże. A nawracać u nas to ma kogo…

Spojrzenia padły w stronę Bratomiły i rozległy się głosy:

– Ona poganka. Jej matka, jej ojciec – wszyscy oni bożki czczą. Mają ich w izbie chyba ze dwadzieścia. Już trzydzieści wiosen minęło od kiedy pan nasz Mieszko krzest przyjął. On przyjął, to my też. On krześcijanin – my również! A oni? Dyć to jakiś pomiot szatański!

Kilka dni ledwie minęło i Wojciech przybył.

– Szczęść wam Boże, dobrzy ludzie! W pokoju do was przychodzę. Dobrą nowinę przynoszę – przywitał miejscowych.

Gdy mówić zaczął, coraz więcej osób się zbierało. Stała już przed nim gawiedź całkiem liczna i jak to w tłumie, zaczęły się przepychanki. Ten z przodu chciał stać i kolegę łokciem trącił, tamten popchnął kogoś, bo niski był, a przecie widzieć musiał dobrze. Wojciech nie mógł nie zareagować.

– Moi drodzy, waśnie wasze Panu Bogu miłe nie są. Wskażcie mi proszę miejsce, w którym mógłbym Słowo Boże głosić. Takie, z którego lepiej by mnie było widać i słychać. Widzicie żem jest człowiek postury mizernej, potrzebowałbym jakiegoś wzniesienia – zwrócił się do zebranych.

Naraz ktoś bystry przypomniał sobie o wielkim głazie, co leży nieopodal. Zaprowadzili tam biskupa. Od tej pory stawał na kraju głazu i stamtąd nauczał.

– Macierz swoją i tatka szanujcie. Pamiętajcie, dobre dziatki zdobią matki – mówił. A żeby lud prosty lepiej mógł go zrozumieć, przeplatał mowę przysłowiami i przypowieściami:

– Kawałek chleba nie spadnie z nieba, ale na niego zapracować trzeba. Chleb pracą nabyty, bywa smaczny i syty. Kto pracuje za młodu, ten na starość nie ma głodu i kto szanuje niedziele i dni boże, Pan mu dopomoże.

Pozostał Wojciech w tych stronach kilka tygodni. Zawsze po południu, gdy praca była skończona, stawał na głazie, by nauki swe zaczynać. Ludzie chętnie słuchali płomiennych kazań, a z dnia na dzień coraz więcej przybyszy z okolicy na te nauki ciągnęło.

Bratomiła z mężem w pierwszym rzędzie stała. W niedzielę, gdy chrzest jezusowy przyjąć można było, z całą rodziną przyszła. Posążki powyrzucała i od tej pory tylko krzyż jej chałupę zdobi. Takich jak ona, którzy z różnych względów cały czas pozostali poganami, było wielu. Ale słowa biskupa miały taką moc, że kruszyły serca nawet najbardziej zatwardziałych grzeszników. Wielu też, podobnie jak Bratomiła, nową wiarę za sprawą Wojciecha przyjęło.

W końcu biskup odjechał. Żal trochę było. Zaczęto więc do głazu chodzić, aby choć miejsca, na którym Wojciech stał, dotknąć. Zrobił tak i Czesław. Idąc w stronę skały, pomyślał: „Gdy tylko głazu, na którym świątobliwy biskup stał, dotknę, płomień boski z pewnością mnie oświeci i wszystkie troski znikną". A że zmartwień miał niemało, postanowił cały wleźć na głaz. I co zobaczył?! Dwa zagłębienia w kształcie ludzkich stóp!

Ludzi zwołał. Wszyscy patrzą – dwa odciski na głazie widnieją.

– To cud! – wołał ktoś.

– Cud zaiste! – powtarzał następny.

– Bóg pokazał, że prawdziwie nas miłuje! – cieszył się inny.

Jak się domyślacie, od czasu tego zdumiewającego odkrycia, pielgrzymki do głazu jeszcze częstsze się stały. Kiedy rozeszła się wieść o męczeńskiej śmierci misjonarza, postanowiono przetransportować kamień do Gniezna, tam gdzie spoczywało ciało świętego. Nadeszła zima, mróz skuł lodem rzeki i jeziora, a śnieg zasypał wszelkie nierówności. Sanie na ten cel specjalne zbudowano, z grubych dębowych pali. A ciężki był głaz okropnie! Aby przesunąć kolosa, wszyscy chłopi ze wsi wraz z wojskiem razem pracowali. Do sań zaprzęgnięto pięćdziesiąt wołów.

Radość nastąpiła wielka, kiedy w końcu udało się. Ujechali kilkaset metrów i… co to? Wypadek! Katastrofa wielka!

– Uwaga, grząski teren! – krzyknął woźnica. – Zatrzymać sanie!

Ale było już za późno. Wielki zaprzęg pod ciężarem ładunku zapadł się tak, że żadna siła nie była w stanie ruszyć sań z miejsca. Poganiali woły, jedni pchać próbowali, drudzy ciągnąć. I nic. Od tego szarpania na wszystkie strony konstrukcja sań rozpadła się zupełnie.

Kiedy śniegi stopniały, ludzie spostrzegli, że spod kamienia wytrysnął strumyczek.

– To znak dany z nieba – mówili.

Uznano zgodnie, że tu jest miejsce głazu i więcej prób zabrania go stąd nie będzie. Wkrótce potem okazało się, że strumyczek ten ma cudowną moc. Kto przemył nim ranę, ten do zdrowia powracał. Rany natychmiast się goiły, a kto niewidomy – wzrok odzyskiwał. Dziewczęta okoliczne, aby urodę sobie zapewnić, twarze wodą przemywały.

Klękano przy źródełku, odmawiano modlitwy, ale był ktoś, komu się to nie podobało. Wiecie, wszędzie znajdzie się jakaś czarna owca. Był to stary Maciej – gbur i niedowiarek. Kpił z pielgrzymek i naśmiewał się z wierzących. Pewnego dnia, gdy już się ściemniło, postanowił:

– Wezmę ja mego starego osła, co na oczy już słabo widzi. Pójdę do źródła i przekonamy się, czy i dla zwierzęcia ten ich Pan Bóg litościwy się okaże.

I wyruszył w nocy. Bydlę iść nie chciało, ale zaciągnął je siłą. Wodą pysk przemył i nic. Ani osioł się nie odmłodził, ani lepiej widzieć nie zaczął.

Chodził więc Maciej po wsi i kpił ze źródła jeszcze bardziej. A Pan Bóg nie lubi, gdy go ludzie na próby i pośmiewiska wystawiają. Może dlatego od zdarzenia z osłem lecznicza woda nagle utraciła swą moc, a kamień wbił się głębiej w ziemię. Są nawet tacy, którzy powiadają, że wieki głaz z każdym rokiem coraz bardziej się zagłębia w podłoże, a kiedy całkiem zniknie – nastąpi koniec świata.

Czas jednak mijał, a głaz św. Wojciecha (bo tak zaczęto go nazywać) tkwił na swym miejscu. Pan, chłop, ksiądz czy rzemieślnik – wszyscy otaczali go szacunkiem. Okoliczni chłopi w 1840 roku wystarali się nawet, aby uznano go za obiekt chroniony po wieczne czasy i wpisano do księgi wieczystej. Ten zapis sprawia, że kamienia nie wolno wykorzystać na cele budowlane. Jest dziś najstarszym pomnikiem przyrody nieożywionej w Wielkopolsce, chronionym prawem. ♦

17

POWIAT MIĘDZYCHODZKI

JAK POWSTAŁ **MIĘDZYCHÓD**

Są miasta położone na wyspie. Są i takie, których mury zwisają ze skalnych klifów. Dostępu do jednych bronią jeziora, do innych – otaczające bagna czy zarośla. Ale ile miejscowości, tak jak Międzychód, leży na przesmyku między jeziorem a rzeką?

Ta Kraina Stu Jezior od wieków słynie nie tylko z czystych zbiorników wodnych, nad którymi w chłodne dni spotkamy ogromną ilość zimującego ptactwa, ale też z malowniczych krajobrazów i starych borów.

Były czasy, kiedy owymi ziemiami rządził wojewoda wielkopolski Domarat Grzymalita. Większość czasu spędzał w Poznaniu, ale akurat postanowił wybrać się na inspekcję grodzisk w zachodniej Wielkopolsce. Wezwał dowódcę swej drużyny i tak mu rzekł:

– Przygotuj wojów. Jedźmy wprzód do Aleksandrowa, potem jeszcze w inne miejsca. Dawno tam nie byłem. Co prawda żadne niepokojące wieści mnie nie dochodzą, ale dla spokoju trzeba sprawdzić.



Gdy drużyna wojów była już gotowa do drogi, zjawiła się żona wojewody Hanka z synkiem Teodorykiem i piastunką Jagną.

– Mężu, zabierz nas ze sobą. Siedzimy cały czas w tym grodzie, nic świata nie oglądamy. W Rokitnie moja rodzina mieszka. Teodoryk ma już rok, a oni go jeszcze nie widzieli. Skoro już jedziesz taki szmat drogi, pozwól nam zabrać się z tobą. Jagna pomoże przy chłopcu – zwróciła się Hanka do męża.

Domarata rozeźliła ta prośba.

– Mowy nie ma! Dzieciaka zabrać nie mogę! A jak co stanie się?

– Nic się nie stanie. Proszę – nalegała żona, spoglądając na niego swoimi pięknymi oczami.

W końcu uległ. Niechętnie zgodził się zabrać ich na wyprawę i kolumna wyruszyła w kierunku Rokitna. Tam zagłębili się w puszczę nadwarciańską, by sprawdzić brody nad rzeką. W pewnym momencie Hanka podeszła do Jagny.

– Dziecko śpi, a my pewnikiem już blisko celu. Jedźmy przodem – powiedziała.

I wyruszyły, oddalając się od kolasy wiozącej Teodoryka. Malec tymczasem niespodziewanie obudził się…

Wieczorem zatrzymali się na postój w pobliżu Aleksandrowa. Jagna, zadowolona z faktu, że dziecko wyjątkowo dobrze zniosło tę długą podróż, zajrzała do powozu, w którym podróżował Teodoryk. Rozsunęła zasłony, chciała wziąć go na ręce, ale… dziecka nie było. Blada jak duch wychyliła się z karety, krzycząc do Hanki:

– Teodoryk zniknął!

Wojewoda słysząc to poczerwieniał ze złości. Słowem się do nikogo nie odezwał. Jednym susem wskoczył na konia i pogalopował szukać synka. Przemierzył całą trasę, którą przebyli. Gdy wrócił, było już po północy. Dziecka nie odnalazł. Wściekły wezwał do siebie Jagnę.

– Ty miałaś go pilnować! Gdzie miałaś oczy!? Jeśli do rana nie wrócisz tu z moim synem, rozkaże ściąć ci głowę!

– Dobrze, mości panie – wyszeptała przez łzy.

Skłonna była ponieść każdą karę. Nie mogła wybaczyć sobie tego, że nie dopilnowała, czy dziecko jest bezpieczne. Kochała Toedoryka jak własnego syna. Nie rozumiała, dlaczego

posłuchała Hanki i oddaliła się od chłopca. Oj, wybaczyć sobie nie mogła. Obarczona przygnębieniem i skulona od wiszącego nad nią wyroku śmierci, niczym nie różniła się od staruszki, która ostatkiem sił ledwo powłóczy nogami. Nie wiedziała w którą stronę iść. Przecież przeszukano już większą część lasu. Dała się ponieść nogom i maszerowała wprost przed siebie drogą, którą jechali, coraz głębiej zanurzając się w ciemnościach.

Usłyszała szelest. „To liście", pomyślała. Ale szmery były coraz głośniejsze. Zdawały układać się w słowa: „meeeezi chodami", „meeeeezi chodami".

– Hej! Czy ktoś tu jest? – zapytała cicho Jagna i rozejrzała się. Przeszukała najbliższą okolicę. Nikogo nie znalazła. Pomyślała, że „mezi chodami" musi oznaczać miejsce między brodami. Cóż miała do stracenia? I tak musiała przeczesać puszczę w poszukiwaniu dziecka. Bez niego nie miała po co wracać. Odruchowo skierowała swoje kroki do miejsca, o którym mówiły głosy. Coraz wyraźniej słyszała: „meeeezi chodami", „meeezi chodami". Pamiętała, że przed brodami dziecko jeszcze spało.

Jagna dobiegła do pierwszego z przejść przez rzekę. Głosy ustały. Zamiast nich usłyszała ciche kwilenie. Dochodziło zza zarośli. Pobiegła tam co sił w nogach.

– To musi być on – wyszeptała. I nie zważając na ostre ciernie, poczęła rozgarniać kłujące gałęzie. Dziecko leżało między nimi. Na drodze ujrzała kilka wystających kamieni. Malec musiał wypaść z kolasy i utknąć w tych mało przyjaznych zaroślach. Pospiesznie wzięła go na ręce i otuliła chustą.

– Biedaczku, przemarzłeś. Teraz już wszystko będzie dobrze – uspokajała chłopczyka.

Do obozu musiała wrócić przez las, a ten spowity był już gęstą i nieprzyjazną ciemnością. Również ziąb zaczynał coraz bardziej dawać się we znaki. Opatuliła Teodoryka jeszcze mocniej i krzyknęła:

– Hej! Głosie, który mnie tu przyprowadziłeś, pozwól mi i dziecku bezpiecznie wrócić do obozowiska! Obyśmy nie zginęli w tym lesie!

Lampka, którą wzięła ze sobą, dawała ledwo widzialne światło. Pozwoliło jej to nie potykać się o korzenie drzew. Szła już kilka godzin i coraz silniej odczuwała zmęczenie. Miała ochotę usiąść choć na chwilę. Choć na sekundę zamknąć zmęczone oczy, odłożyć dziecko i pozwolić odpocząć

osłabłym ramionom. Ale ilekroć siadała, spadła na nią z drzewa szyszka albo gałązka. To powodowało, że momentalnie trzeźwiała.

– Co ja wyprawiam? Muszę iść. Stale iść, aby nie zmarznąć i aby nie dać się pożreć dzikim zwierzętom – mówiła sama do siebie.

Nie wiedziała, jakim cudem udało się jej dotrzeć do obozowiska. Słońce jeszcze nie wzeszło. Z daleka zauważył ją służący, który obudził się jako pierwszy.

– Jagna! Znalazłaś go!

Jego spontaniczna radość natychmiast obudziła resztę. Uściskom i łzom szczęścia nie było końca Nawet Domarat w końcu rozchmurzył się i przebaczył Jagnie. Wszyscy pytali, gdzie znalazło się dziecko, na co dziewczyna odpowiadała, że „mezi chodami". Opowiedziała o głosach, dzięki którym trafiła do Teodoryka oraz o tym, jak później bezpiecznie doprowadziły ją do obozu. Następnego dnia wszyscy udali się zobaczyć miejsce, gdzie leżało zaginione dziecko.

– Patrz – powiedziała Hania do męża. – Po jednej i drugiej stronie tych zarośli widać bród. To dobre miejsce na założenie osady. Zatrzymać się w niej będzie musiała każda karawana, wędrująca bursztynowym szlakiem.

– Zaiste! Podróżni przed przeprawą znaleźliby tu wytchnienie, pożywienie, nocleg i inne usługi. Przypuszczam, że wioska ta będzie się szybko bogacić.

Tak też się stało. Ze względu na położenie, nowopowstałą osadę nazwano „Mezi chodami". Z czasem nazwę zaczęto wymawiać Międzychod, a potem Międzychód.

Gdy miasteczko zaczęło się rozrastać, brody zastąpiono mostami. W XVI wieku za przejazd przez Wartę pobierano w Międzychodzie myto oraz cło od płynących w dół rzeki statków. Bliskie sąsiedztwo Brandenburgii sprawiło, że w mieście osiedlało się wielu Niemców. I to pewne dzięki nim od średniowiecza równolegle z polską używana była niemiecka nazwa miasta Birnbaum, co oznacza gruszę. Tak, tę samą, którą znajdziecie w herbie miejskim, ale to już zupełnie inna historia, a tych na Ziemi Międzychodzkiej nie brakuje. Są one jednym z wielu skarbów, obok krystalicznie czystej wody wprost z podziemnego źródła, malowniczych krajobrazów, czystych jezior i pięknych kompleksów leśnych. ♦

18



MIKSTAT

ZAJĄC
POD PRĘGIERZEM

Już w pierwszej połowie XIV wieku, gdy wiele terenów wielkopolski porastały puszcze, Mikstat był w pełni ukształtowanym miastem, posiadającym swoje struktury prawne i burmistrza. A burmistrz miał odważne plany budowy – młynów na rzece i łaźni miejskiej. Czyż nie brzmi to imponująco?

Bardzo szybki rozwój Mikstatu to nie kwestia lat, ale stuleci, w trakcie których tworzył się organizm miejski. Być może zaczęło się od podróży, a właściwie od prastarego Bursztynowego Szlaku. W okresie Imperium Rzymskiego przez okolice Mikstatu przemieszczały się karawany kupieckie, podążające przez Kalisz i Kruszwicę do Bałtyku w poszukiwaniu cennego bursztynu. Na owym szlaku spotykały się różne nacje, wymieniały towarami i informacjami. Ci podróżni gdzieś musieli spać i coś musieli jeść. Dlatego wzdłuż obleganej drogi rozwijały się różne osady. Mikstat, będący własnością królewską otrzymał prawa miejskie już w 1366 roku.



Kiedyś, podobnie jak dziś, centralnym miejscem w Mikstacie był ratusz. Rezydował w nim burmistrz oraz władze miejskie. Przed budynkiem rozstawiano kramy, handlowano i noszono wodę. Jednym słowem – tętniło życie. I było tam coś jeszcze: pręgierz. Wiecie, co to takiego?

Najprościej mówiąc, był to słup, do którego przywiązywano oszustów i złodziei. Robiono to po to, aby pokazać ich ludowi. Każdy, kto wchodził na rynek, widział, że delikwent dopuścił się poważnego przestępstwa. To była okropna hańba publiczna. Tak, jakby dziś przewinienie, które za wszelką cenę chcielibyście ukryć, trafiło do wszystkich mediów, na bilbordy i do sieci społecznościowych. Wiedziałby o nim każdy człowiek w mieście.

To właśnie przy tym pręgierzu władze Mikstatu wymierzały sprawiedliwość mieszczanom, którzy dopuścili się przewinień. Karę więzienia skazańcy odbywali w celi na parterze ratusza.

Od zachodu miasto posiadało lasy iglaste, zasobne w runo leśne, a od południa – kompleks lasów liściastych ze starodrzewiem dębowo-bukowym, ostojami zwierzyny i ptactwa łownego. W tych lasach i na okolicznych polach najwięcej było zajęcy. Może i cieszyłaby się z tego miejscowa ludność, ale zajęcy było tyle, że stawały się utrapieniem.

Basia codziennie chodziła na pole z kijem gonić te stworzenia.

– A sio mi stąd! Pójdźcie wy, zanim do cna mi kapustę zeżrecie! – wołała.

Nie inaczej było u innych. Stary Marych postawił stracha, którego odział w swoje zniszczone ubrania. Zające bały się go przez pierwsze dwa dni, a potem skubały kapustę jak dawniej.

– Żeby tak choć móc je odstrzelić. Narobiłoby się pasztetu, upiekło mięsko, jakiś pożytek choć byłby – narzekali chłopi.

Ale ustawa magistratu mówiła jasno: „Zabrania się strzelania do zajęcy". Wszak las był własnością miasta, to i zające były własnością miejską.

Chłopi jednak nie tak łatwo dawali za wygraną. Jeden z nich, Marian, wpadł na świetny pomysł.

– Słuchajta, ludzie – powiedział. – Nie możemy strzelać do tych zjadaczy kapusty, ale nikt nie powiedział, że zabrania nam się je łapać w sidła.

To stwierdzenie oczywiście bardzo spodobało się innym chłopom. Już po kilku dniach widać było zmianę w relacjach wieśniaków z zającami. Ilość szkodników radykalnie się zmniejszyła.

Na stołach częściej gościło zajęcze mięso, a i kapusty było jakoś więcej. Ludzie wydawali się spokojniejsi i bardziej zadowoleni z życia.

Niestety – doszło w końcu do magistratu mikstackiego, że w jakiś dziwny sposób chłopi uporali się z zającami. Burmistrz wysłał więc swego zwiadowcę z poleceniem:

– Idź tam i donieś mi, co się na tej wsi dzieje.

– Panie burmistrzu – rzekł wysłaniec po powrocie – chłopi łapią zające w sidła.

– Co?! Jak śmieli obejść najświętsze prawa ?! – krzyczał oburzony włodarz i następnego dnia wydał rozporządzenie następującej treści: „Każdy chłop, który złapie zająca w sidła, będzie srogo karany. Postawią go pod pręgierzem. Założą mu na szyję żelazną obrożę i położą napis: Złodziej leśny".

Chłopi z początku bardzo się przestraszyli i na kilka tygodni zaprzestali polowań na zające. Zwierzęta znów rozpanoszyły się okropnie, rozmnożyły i zjadały jeszcze więcej kapusty niż wcześniej. Gdy miski wieśniaków zaczęły świecić pustkami, a głód dał im się już ostro we znaki, postanowili się zbuntować przeciwko prawu, które nie służy ludziom.

– Koniec z tym absurdem. Idę zastawić sidła – oznajmił Marian po kolejnej wieczerzy, na którą wraz z rodziną jadł jedynie obierki po ziemniakach.

Owszem, złapał kilka zajęcy i przyniósł je rodzinie, ale ludzie burmistrza szybko go wytropili. Był pierwszym, który za zabicie zająca poniósł karę przy pręgierzu. Po nim jeszcze kilku osobom wymierzono sprawiedliwość w ten sam sposób. Wieśniacy byli jednak solidarni i nie naśmiewali się z tych, którzy stali pod pręgierzem.

Pewnego dnia, gdy burmistrz dopiero oczy przecierał i przeciągał się leniwie po dobrze przespanej nocy, spojrzał przez okno i zdziwił się.

– Co to za tłum zebrał się pod pręgierzem? Nikogo żeśmy wczoraj nie ukarali – mówił do sługi. – Idź no sprawdzić, co to za zbiegowisko? Tylko szybko!

– Wydaje mi się, że śmiechy słyszę. Pod pręgierzem śmiech? Nie do wiary – mruczał do siebie pod nosem.

Sługa wrócił zdyszany i z trudem powstrzymując się od śmiechu, wykrztusił:

– W żelazach, którymi przestępcom szyję ściągamy, wisi zając. Trzymający w pysku liść kapusty, a pod nim jest napis: „Złodziej polny".

– To ci dopiero dowcipnisie! – krzyknął burmistrz. – Przecie oni niepiśmienni! Ktoś im pomóc musiał. Weź no papier i pisz – rozkazał. – „Prześwietny magistrat mikstacki wyznacza nagrodę w wysokości dwudziestu złotych dla tego, kto wyśledzi sprawcę figla". A teraz niech trębacz wezwie ludzi i ogłoście to zebranym.

Wszystko wykonano tak, jak rozkazał. Ale sprawca się nie znalazł. Mimo że nagroda była wysoka, solidarność chłopska okazała się jeszcze większa. Sąsiad sąsiada nie wydał, ani syn ojca, ani nikt nikogo. Była to gorzka nauka dla magistratu, że ludzi ciężko karzą, ale zającom, co szkody niemałe wyrządzają, wszystko puszczają płazem.

Z tą solidarnością do dziś nic się wśród mieszkańców Mikstatu nie zmieniło. Spotkacie tu ludzi życzliwych i pomagających sobie nawzajem. A co z władzami miasta? Te już dawno się zmieniły. Prawa ustanowiły nowe, sprawiedliwe i co najważniejsze – dobre dla ludzi. ♦

19

ODOLANÓW

O RYCERZU **ODOLANIE**

Odolanów to miejscowość z malowniczymi trasami leśnymi, łąkami, torfowiskami i rzekami. Znacie być może Park Krajobrazowy Dolina Baryczy, który oferuje wiele możliwości aktywnego spędzania wolnego czasu. A wiecie, że tereny te już wiele wieków temu interesowały ludzi i przyciągały osadników?

Dzieje Odolanowa sięgają czasów średniowiecza. Już w XIV wieku wznosił się tu gród wraz z zamkiem, którego historia zaczyna się od pewnego stolarza imieniem Teoś.

Teoś był, jak to mówią „złotą rączką". Z drewna umiał zrobić wszystko. Najbardziej lubił jednak pracować dla rycerzy. Pewnego dnia robił stół dla Dzielnego Janka. Gdy przyszło do zapłaty Janko chciał mu wręczyć sakiewkę monet:

– Dobrą robotę wykonałeś, proszę – powiedział.

Stolarz jednak cofnął jego dłoń i tak rzekł:

– Nie chcę od ciebie pieniędzy. Daj mi za to kilka lekcji fechtunku – poprosił.

– Chciałbyś być rycerzem? – zapytał zdziwiony Janko.



– Tak! Od kilku lat o niczym innym nie marzę! – odpowiedział pełen entuzjazmu Teoś.

Rycerz Janko szybko nauczył młodego stolarza władać mieczem, a jego usługi polecił swoim kolegom. Teoś robił więc meble dla wielu innych rycerzy, którzy obdarowywali go za to starymi kuszami, mieczami i hełmami. Wszyscy, podśmiewując się z jego zapału, płacili mu niewiele, ale w ramach uzupełnienia wynagrodzenia – uczyli walki.

– I tak z niego rycerza nie będzie – śmiali się pod nosem. – Przecie to czeladnik zwykły. Jak się szlachcicem nie urodził, to już nie da rady.

Ale Teoś się tym nie przejmował. W wolnych chwilach chadzał na wszystkie turnieje i podpatrywał, jak osłaniać się tarczą czy skutecznie atakować, a potem ćwiczył w samotności…

Pewnego razu naprawiał drzwi u rycerza Władysława, gdy nadbiegł posłaniec z wiadomością:

– Wojna! Wszyscy rycerze wzywani do boju, mają stawić się natychmiast!

– Giermek mój ciężko zachorował – powiedział Władysław i zwrócił się do Teosia. – Nie chciałbyś go ten jeden raz zastąpić?

A Teofilowi dwa razy nie trzeba było tego powtarzać. Za pół godziny był już gotowy, jakby tylko czekał na ten moment.

Gdy znaleźli się na placu boju, w pierwszej potyczce Władysława dźgnięto kopią. Teoś odciągnął go w bezpieczne miejsce, opatrzył i obiecał:

– Wrócę po ciebie niebawem. Wszystko będzie dobrze – rzekł stanowczo, po czym wdział jego zbroję i pognał na pole bitwy.

– Miłościwy panie, ruszam na pomoc! – krzyknął Teoś, widząc króla otoczonego przez czterech wrogich rycerzy. Już chcieli władcę strącić z konia, gdy jak błyskawica nadjechał Teofil. Jednego dźgnął z lewej, drugiego z prawej, a trzeciego przebił mieczem. Czwarty ze strachu uciekł.

– Nic nie jest miłościwemu królowi? – zapytał władcę.

– Nie, dzielny rycerzu. Powinieneś zwać się Odolanem, co znaczy „ten, który zwycięża". W staro-cerkiewno-słowiańskim słowo „odoletti" oznaczało „zwyciężać, podołać". Ocaliłeś mnie, proś więc mnie o co zechcesz.

– Jaśnie królu, wyznać ci muszę, że nie jestem prawdziwym rycerzem, tylko czeladnikiem. Marzeniem moim jest, aby być pasowanym na rycerza. Wiem jednak, że to niemożliwe z powodu mego pochodzenia – powiedział smutno.

– Nie dla króla, mój drogi. Dowiodłeś, że odwagą przewyższasz niejednego woja, a umiejętności wojaczki posiadasz takie, jakbyś u najlepszych terminował. Ogłaszam więc wszystkim zebranym – powiedział król w obecności swoich zbrojnych – że od dziś Teofil jest rycerzem i od tej pory Odolanem będzie nazywany. Przydzielam go również do swej osobistej straży i daruję mu gród z zamkiem.

Teofil nie posiadał się ze szczęścia. Poślubił piękną kobietę i zadomowił w zamku. Czasy jednak były niespokojne. Niebawem musiał wraz z królem ruszać na kolejną wojenną wyprawę.

– Najdroższa, wrócę niebawem – obiecał małżonce przed wyjazdem.

Trudny to był dla niej czas. Została sama w nowym zamku, a w dodatku niebawem dowiedziała się, że jest brzemienna. Odliczała dni, mając nadzieję, że ukochany wróci na narodziny ich dziecka. Ale on nie wracał. Powiła zdrowego ślicznego synka. Odolana nadal nie było. Co jakiś czas dochodziły do niej tylko informacje o jego sławnych czynach i wygranych potyczkach. „Przynajmniej wiem, że żyje", pocieszała się.

Pewnego ranka przybył do niej posłaniec z dobrą nowiną:

– Pani, twój małżonek wraca. I ponoć sam król chce się u was na nocleg zatrzymać.

– Dzięki Najwyższemu! – padła na kolana i zalała się łzami radości. Chwilę potem poleciła służbie zabić dzika i przygotować wielką ucztę. Gdy orszak królewski zbliżał się do zamku, Odolan z tęsknoty nie wytrzymał i pognał przodem. Małżonka wybiegła na powitanie. Jak ogromna była jego radość, kiedy spostrzegł, że żona trzyma zawiniątko z dzieciątkiem.

– Mam syna! – krzyczał na całe gardło, dumy jak paw. – Jestem ojcem!

Ucałował żonę i pogłaskał czule maleńką główkę dziecka.

Tymczasem świta królewska podjechała do bram.

– Miłościwy panie, zostałem ojcem! – oznajmił. – Uczyń mi honory i zostań ojcem chrzestnym mojego syna – poprosił, chyląc się nisko.

– Tobie nie odmówię – uśmiechnął się król.

Trzy dni świętowano szczęśliwy powrót z wojny, a kolejne trzy chrzciny małego dziedzica, którego nazwano Bartoszem. Wojny nieco ucichły i Odolan częściej bywał w zamku. Pamiętając o swoim czeladniczym pochodzeniu, uważał, że trzeba być dla innych dobrym i dzielić się majątkiem.

– Zatrudnimy lekarzy – oznajmi pewnego dnia. – Będą pracować dla mnie na zamku, ale z ich pomocy będzie mógł korzystać każdy potrzebujący. Za darmo. Widziałem wiele cierpienia i bólu, dlatego chciałbym, aby choć na mojej ziemi było go jak najmniej.

Wieść o dobrym panu na zamku w Odolanowie rozeszła się szybko. Chorzy tłumnie zaczęli ściągać do medyków. Ci, co w lepszym stanie, przychodzili sami, a innych przynoszono na łożach. Wiele osób udało się wyleczyć i uratować.

Osiedlali się potem w okolicy, szukając zajęcia i również w tym pomagał im Odolan.

– Nie chcę, aby na moich włościach lud głodował. Pracy wystarczy dla wszystkich – zapewniał tych, którzy chcieli zostać.

Dwa razy w tygodniu Odolan przyjmował potrzebujących i zatrudnienie dla nich wynajdywał. Jednego uczył na kołodzieja, innego na bednarza, jeszcze inny zostawał tragarzem czy dostawcą towarów. Nikt nie odchodził z kwitkiem. Skutek był taki, że na ziemiach Odolana żyło się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Kwitło rzemiosło. Przybywało kupców, a z nimi artystów i kuglarzy, których występy Odolan hojnie wynagradzał. Gród coraz bardziej się rozwijał i bogacił. Rycerz bramy swego grodu otwierał dla wszystkich, poza łotrami oczywiście. Coraz częściej ktoś udając się do zamku Odlana mówił: „Do Odolanowa jadę". I w ten sposób przyjęło się nazywać miasto Odolanowem.

Już w XIV wieku, a dokładnie w 1373 roku Odolanów uzyskał prawa miejskie, co jeszcze bardziej przyspieszyło jego rozwój. Gdy spojrzycie na herb Odolanowa, zobaczycie, że brama, która na nim widnieje, jest otwarta. To symbol otwartości i gościnności mieszkańców. Tak jak wieki temu legendarny rycerz chętnie witał w progach przybyszy, tak i teraz goście w Odolanowie są zawsze mile widziani. ♦



PNIEWY

JAK PNIEWY **ZBUDOWANO**

Dawno temu, na miejscu miasta Pniewy, rósł gęsty las, pełen zwierza. Po polanach biegały sarny i jelenie, w gęstwinie kryły się dziki. Tu i tam mruczał groźnie niedźwiedź, przemknął lis czy ryś. Wieczorami rozlegało się wycie wilków i pohukiwanie sów. W wodach pobliskiego jeziora roiło się od ryb. Przyciągało to rybaków i myśliwych. Razem z nimi nadciągali smolarze, którzy z drewna wypalali węgiel.

– Nie ma co dalej jechać! Cóż więcej człekowi do życia potrzeba? – przekonywał swą żonkę Borzymir. – Osiedlamy się!

– Jak my tu żyć będziemy? W tej gęstwinie, daleko od ludzi? – obawiała się Nasława.

– Obaczysz, wszystko będzie dobrze – uspokajał ją mąż.

Niebawem okazało się, że na podobny jak oni pomysł, wpadło wiele innych osób. Jedna chata, druga, trzecia. Ludzi w okolicy zjawiało się coraz więcej. Osadnicy poczęli lasy karczować i na polowania chadzać. Co świt po kilka łodzi na jezioro wypływało.



Wieści o nowych przybyszach dotarły do właściciela puszczy – wielmoży z rodu Nałęczów. Ten postawny starzec z siwą, długą brodą sprawiał wrażenie człowieka groźnego. W rzeczywistości roztropny był i w gruncie rzeczy dobry.

Gładząc brodę, w głos powtarzał:

– Nawet rzemieślnicy zjawiać się zaczęli, mówicie? Hmm…

– Tak, panie. Już nie tylko rybacy, drwale i smolarze się osiedlają. Są kołodzieje, kowale, sukiennicy…

– Skoro są rzemieślnicy to i nadwyżki żywności są. I potencjał do rozwoju duży.

Osobiście udał się do osadników, aby wydać dekret:

– W miejscu tym, do mnie należącym pozwalam wam wznieść miasto. Rządzić nim ma rada, w której zasiądą najbardziej szanowani spośród was.

Wkrótce zachrobotały piły, zastukały siekiery. Przybysze poczęli gorliwie wycinać drzewa na budowę grodu. Ani się człowiek obejrzał, a wykopano głęboką fosę, otoczono palisadą. Niskie chaty okalały plac. Pojawił się piękny drewniany kościół, kramy kupieckie i warsztaty rzemieślnicze. Wstępu do grodu strzegły dwie bramy z mostami zwodzonymi. I zdawało się, że szczęśliwie i spokojnie się mieszkańcom wiodło, ale…

Tak się nakręcili ludziska na rozbudowę grodu, że nacięli do tego drzew bez kontroli i opamiętania. Gałęzie, drągi, pocięte pnie były wszędzie. Kłody walały się pod nogami. Stosy drewna piętrzyły się na rogach ulic wyżej niż mury obronne. Goście przyjeżdżający do miasteczka, widząc to, kpili z mieszkańców:

– Nazwijmy ich „głupimi pieńkami” – ha, ha, ha!

Lecz właściciel tych ziem wcale nie był skory do żartów. Rozgniewał się srodze. Przybył szybko i purpurowy ze złości ryknął na radę miejską:

– Tyle drzew zmarnowaliście! – krzyczał. – Kara was nie minie, jeśli w tydzień nie zrobicie z tym porządku!

Zebrali się rajcy. Drapali po głowach, rwali włosy z brody:

– Co robić? Spalić? Nie. Za dużo dymu i jeszcze pożar wybuchnie – odpowiadali sami sobie. – Może nowe domy pobudować? Nie. Przecie w mieście miejsca nie ma, a za murami niebezpiecznie.

Ogłosili wreszcie:

– Ten, kto sposób na drewno znajdzie, otrzyma sowitą nagrodę.

Stawiło się trzech młodzieńców, których nagroda do działania zachęciła: Michał – drwal, Stach – syn kupca i Bartek – biedny sierota, ale roztropny parobek.

– Trzeba wysoką wieżę zbudować – rzekł Michał, najstarszy.

– Ale po co komu ta wieża? – zastanawiali się rajcy.

– Sprzedać! – rzucił średni, Stach.

– Ba! Tylko gdzie znajdziesz takich, którzy kupią tyle drewna? – pytali starsi. Nie wiedział.

Najmłodszy, Bartek poprosił o dwa dni do namysłu.

– Do lasu pójdę – rzekł. – I znajdę rozwiązanie.

Rajcy bezradnie wzruszyli ramionami i pozwolili Bartkowi wyruszyć w drogę. Zapuścił się daleko w gęste ostępy. Znał tam pewnego pustelnika, który nie lubił się ludziom pokazywać. Zajmował się bartnictwem, czyli hodowlą pszczół. Leczył ludzi ziołami, miodem i woskiem. Chłopiec zapytał go:

– Czy z drewnianych pni da się zrobić ule dla pszczół?

– Oczywiście! – rzekł staruszek, zadowolony, że ktoś jego fach chce przejąć. – Ja ciebie wszystkiego nauczę. I pierwsze roje pomogę złapać.

Bartek wrócił do miasteczka i rzekł do rajców tak:

– Ze wszystkich pni zbudujmy ule. Miód i wosk są w wysokiej cenie, więc zarobimy na tym.

Rajcy osłupieli.

– Cóż, budujmy! – przytaknęli jednogłośnie.

Niebawem każdy z mieszkańców miał u siebie po kilkanaście uli. Stosy pni zniknęły, a kiedy minął tydzień i właściciel przybył do miasteczka, pochwalił pomysłowość mieszkańców. Bartek otrzymał od rajców mieszek złota, a stary Nałęcz, który potomka nie miał, tak się roztropnością i zaradnością chłopaka zachwycił, że przygarnął go na syna i dziedzica.

Na pamiątkę rozwiązania kłopotu z pniami nadał miastu nazwę Pniewy, a sam przyjął nazwisko Pniewski.

Mijały lata. Wiele osób odwiedziło i cały czas odwiedza Pniewy. Nikt już nie waży się naśmiewać z mieszkańców, bo ich dobre pomysły i pracowitość uczyniły gród zasobnym i pełnym możliwości dla nowych, chętnych osadników. Bartłomiej ukochał ten gród, którego sukces wyrósł przecież z jego

pomysłu. Średniowieczną drewnianą zabudowę, mało odporną na pożary, z czasem zastąpiono murowaną. Wybudowano pałac oraz piękne kościoły, jak św. Wawrzyńca czy św. Ducha. Bartłomiej doczekał się tu wielu mądrych i przedsiębiorczych potomków. Tylko po ulach nie pozostał nawet ślad.

Czy wszystko w opowieści jest prawdziwe? Tego nikt już nie pamięta. Ale ślady tej historii zapisane są na pniewskim herbie. Na środku niebieskiej tarczy widnieje pień – wskazówka, że miasto z pni zbudowano albo że ule, czyli pnie, w nim stały. Skrzyżowane klucze są symbolem władzy rajców. Srebrna chusta zaś, czyli nałęcz, to znak rodowy Pniewskich. ♦

21

ZATOPIONE MIASTO **PNIEWY**

Działo się to w zamierzchłych czasach, kiedy ludzie jeszcze pisać nie umieli. Pniewy rozciągały się wówczas w miejscu Jeziora Pniewskiego. Bogaty to był gród. I co tu wiele mówić, mieszkańcom wiodło się tak dobrze, że zapomnieli o Panu Bogu. Nawet chleb przestali szanować.

– Połóż no mi bochenek pod stopy, abym obuwia nie zamoczyła – rozkazywały damy swym służkom. A i u służby nie było lepiej. Hazard, bijatyki i rozwiązłość stały się codziennością. Ludzie stawali się w swej niecnocie i rozpasaniu tak zuchwali, że dnia pewnego miarka się przebrała. Niebiosa zagrzmiały, miejsce spowiła ciemność. Gdy znów wyszło słońce, miasta już nie było. Zatonęło pod falami jeziora. Podobno do dziś, każdej nocy słychać z głębi wód dźwięki dzwonów.



Minęły stulecia i obok jeziora powstały nowe Pniewy.

O tragicznych dziejach dawnego grodu zupełnie zapomniano. Nie pamiętało o nich także dwoje staruszków, którzy żyli sobie w małym domku przy rynku. Pan Maciej zajmował się drobnymi naprawami, a jego żona Zofia dziergała na drutach swetry, skarpety i szaliki. Stary Maciej lubił wieczorami łowić ryby w jeziorze. Pewnego razu, kiedy przy księżycu zarzucił wędkę, zerwał się silny wiatr. Tafla wody zmarszczyła się, a w poszumie dało się słyszeć odgłosy dzwonów. Nagle z fal wynurzyły się ciężkie żelazne wrota. Maciej przeląkł się, zbladł i nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Dobry człowieku – odezwały się wrota. – Ty jeden możesz wyzwolić stary gród z mocy zaklęcia. Jutro o północy przyjdź tutaj i przynieś siedem narzędzi: łopatę, młot, łom, topór, pilnik, świder i obcęgi. Ale pamiętaj, nikomu nic nie mów, a żadnego narzędzia nie zapomnij, bo poniesiesz srogą karę.

Mężczyzna obiecał, że wypełni wszystko. A wtedy drzwi zaśpiewały dziwną pieśń:

„Nabierz wody na łopatę, ujrzysz miasto przebogate!

Wal toporem, uderz młotem, życia wzbudzisz w nas ochotę!

Świdruj świdrem, świdruj świdrem, aż się z toni wodnej wydrę!

Szlifuj, szlifuj nas pilnikiem, ruszym wszyscy w tany dzikie,

A na koniec obcęgami uwolnimy się już sami!”

Maciej wrócił do domu blady jak ściana.

– Wyglądasz jak trup. Co ci jest? – wypytywała z przejęciem żona. Ale Maciej milczał. Przygotował sobie kosz z narzędziami. Siadł przy oknie i w milczeniu czekał. Zofia tymczasem krzątała się po domu. Zawadziła o coś raz i drugi.

– A niech mnie! – krzyknęła.

Przyjrzała się. Z futryny drzwi wystawał gwóźdź. Niewiele myśląc, wzięła z kosza obcęgi, aby rozprawić się z żelastwem. Nie odłożyła ich jednak do kosza. Powiesiła przy piecu. W końcu zegar na wieży kościelnej wybił kwadrans przed północą. Maciej chwycił kosz i wyruszył nad jezioro. Była cisza. W gładkiej tafli wody odbijał się księżyc. Ledwie wybiła północ, z głębin wypłynęły żelazne wrota.

– Dotrzymałeś słowa! Nagroda cię nie minie!

I zaczęły śpiewać pieśń, a mężczyzna starał się wykonywać zawarte w niej wezwania. Nabrał wody na łopatę. Patrzy, a z jeziora miasto się wynurza! Uderzył młotem i siekierą we wrota – rozlegają się radosne krzyki! Podważył łomem kłódkę – pękła! Wiwat! Gdy użył świdra i pilnika – zabiły radośnie dzwony! Przez kraty żelaznych wrót próbowały się przedrzeć liczne dłonie. Maciej zrozumiał. Sięgnął do kosza, by wydobyć obcęgi. Lecz… co to!? Nie ma! A to ręce mieszkańców zatopionego miasta łapią powietrze i szepty słychać:

– Daj obcęgi, daj obcęgi… Przerażony mężczyzna począł gorączkowo szukać narzędzia w trawie. Na próżno. Nie wiedział, że obcęgi w domu pozostały.

Wtedy z setek gardeł mieszkańców zatopionych Pniew rozległ się krzyk przerażenia:

– Aaaaaaaaaaa! – i wśród huku fal gród znowu runął w wodę! Długo się jeszcze burzyło jezioro, zanim zaległa cisza. A stary Maciej stał na brzegu skulony bezradnie. Nie mógł zrozumieć jak to się stało, że choć schował obcęgi do kosza, nie było ich tam. Tymczasem wrota, które dalej pływały po jeziorze krzyknęły:

– Coś uczynił! Taka noc nie powtórzy się nigdy! Miasto już na zawsze zostanie pod wodą! Za karę zaniesiesz nas teraz do kościoła na własnych plecach!

To powiedziawszy wrota wyskoczyły z wody i runęły na Macieja. Były tak ciężkie, że starzec musiał się czołgać. Rankiem organista znalazł go przy murze kościoła.

– Pomocy, dobry człowieku! Zdejmijcie to ze mnie – jęczał Maciej.

Uwolniony spod ciężaru, tak opadł z sił witalnych, że całe tygodnie po tym z łoża podnieść się nie mógł. Zofia opiekowała się nim troskliwie, czyniąc sobie stale wyrzuty:

– Czemuż ja tych obcęgów do kosza nie odłożyła! Oj, czemuż!

A żelazne wrota? Podobno znajdują się do dziś w kościele św. Wawrzyńca. Według jednych to drzwi w przejściu z zakrystii do ołtarza, według innych wmurowano je w ścianę świątyni. Byliście w niej? Warto tam zajrzeć, zobaczyć starą kruchtę z chrzcielnicą i w ciszy posłuchać jeszcze innych opowieści, które kryją w sobie stare mury. ♦

22

POZNAŃ

O POZNAŃSKICH **KOZIOŁKACH**

– Zaraz się zacznie, przepuście mnie. Nic nie widzę!

Na rynku poznańskim ludu co niemiara, a widzieć chce każdy. Jest rok 1551. Wszystkie oczy skierowane w jedno miejsce – do góry, na ratuszową wieżę. Za chwilę ma być odsłonięty nowy zegar, istne cacko. Mistrz Bartłomiej z Gubina cały rok nad nim pracował. Nie każde miasto byłoby na to stać. Ale Poznań może sobie pozwolić na rzeczy, o których inne miasta tylko marzą. Odsłonięciu zegara towarzyszyć ma wielka uczta dla rajców i wojewody.

Kucharz Gąska piekł właśnie sarninę. Masłem ją polewał, obracał i mruczał z zadowolenia, czuł bowiem, że smaczna będzie wyjątkowo. Zapach taki unosił się w karczmie, że oblizywali się wszyscy, którzy koło niej przechodzili. Nagle rozległo się na rynku:

– Wojewoda jedzie! Już jest!

Kucharz choć na chwilę wyjść zapragnął, zobaczyć, co pod ratuszem się dzieje, osobiście włodarza przywitać. W końcu kuchcika Pietrka zawołał:

– Pilnuj mi tu pieczeni. Obracaj ją wolno i z oka nie spuszczaj! Ja zaraz wrócę.



Pietrek stanął posłusznie przy ruszcie. Ale prostym był chłopakiem i długo w jednym miejscu usiedzieć nie zdołał. A ciekaw był tego nowego wynalazku, najbardziej zastanawiało go, jak ten zegar działał od środka.

– Co tam jest? – zastanawiał się. – Pewnie same cudeńka: jakieś łańcuszki, śrubki…

Od stania przy ogniu gorąco się Pietrkowi zrobiło. Spozierał na małą beczułkę z piwem. „Tylko łyk", marzył, „mały łyczek, nikt się nie zorientuje". Rożen puścił, susa dał i już wlewał piwo do gardła. Wtem! Huk ogromny, iskry lecą, kuchnia czarna od dymu! To udziec sarni spadł z rożna wprost w ogień. Pietrek biedny, w panice krzyczeć zaczyna:

– Pali się!

Kucharz Gąska wpada do kuchni.

– Cóżeś ty narobił! – krzyczy. – Co ja teraz dam wojewodzie! Sala na biesiadę gotowa, węgrzyn i miody stoją na stołach, a moja pieczeń?! Co ja poczne?!

Gdy uspokoił się nieco, dał Pietrkowi dukata i rzekł:

– Leć no po kawałek mięsiwa jakiego, trzeba nową pieczeń upichcić.

Biegnie Pietrek od jatki do jatki, wszystkie drzwi pozamykane. No tak, olśniło go, wszyscy przecie przed ratuszem stoją. I pognał co sił w nogach aż za miejskie mury. Zatrzymał się dopiero nad Wartą, na łąkach. Rozejrzał się – za krzakiem zobaczył dwa malutkie, białe koziołki. W jednej chwili zerwał postronek i pognał wprost do ratusza. Nie przejął się tym, że jakaś kobieta pędzi za nim, krzycząc:

– Złodzieju! Oddaj kozy!

Zgubił ją na pierwszym zakręcie. Wpadł jak burza do kuchni.

– Panie Gąsko, patrzcie! Jatki na cztery spusty zamknięte, ale mam to!

– Pięknie – pochwalił go kucharz. – Daj mi je tu.

Ale koziołki, gdy tylko zorientowały się, że na ruszt mają być wsadzone, jak nie wierzgnęły kopytami, jak nie ruszyły na kuchcika z rogami. Ten puścił sznurki z rąk, a gdy zorientował się, co się stało, koziołki były już daleko. Wbiegły na rynek. Pietrek za nimi. Ale koziołki okazały się szybsze: hyc do ratusza, hyc na schody i dalej na wieżę.

Wskoczyły na kamienną półkę, z niej na zewnątrz, na gzyms nad zegarem. W tej chwili właśnie wojewoda zadarł głowę do góry i zdziwił się ogromnie. W małym okienku ujrzał dwie

głowy koziołków, które bodły się tak zawzięcie, że nie tylko wojewodę, ale i cały zgromadzony tłum rozbawiły.

Takiej wesołości dawno tu nie widziano. Dwa koziołki niczym się nie przejmowały i nadal bodły się rogami, pozwalając, aby tłum je podziwiał.

Na to nadbiegł zdyszany Pietrek, za nim imć Gąska.

– Nasze koziołki! – krzyknęli.

Jakaś kobieta przez tłum się przeciska i lamentuje:

– Niegodziwcy! Okradli mnie, dyć to moje kozły tam na wieży! Jaśnie wielmożny wojewodo, pomóżcie biednej wdowie! – prosi, padając na kolana.

Ten pyta życzliwie:

– A któż to wam krzywdę wyrządził, gadajcie?

– Pietrek, kuchcik, moje koziołeczki z łąki tu przywlókł.

Kucharz na Pietrka łypie, ten speszony słowa z siebie wydusić nie może. Gąska więc całą historię spalonej pieczeni co do joty opowiedział. Ta historyja jeszcze bardziej rozbawiła wojewodę. Gniew swój poskromił, kradzież Pietrkowi wybaczył. Kozły zdjęto z wieży i oddano właścicielce. A uczta? Uczta odbyła się bez pieczeni. Jej braku nikt nawet nie zauważył, tak humory wszystkim dopisywały i tyle innych smakowitych kąsków na stołach stało.

Burmistrz z wojewodą uznali zgodnie, że takie wydarzenie trzeba upamiętnić. Polecili więc Bartłomiejowi, by zegar swój o mechanizm z koziołkami wzbogacił w taki sposób, aby figury zwierząt o każdej pełnej godzinie się ukazywały i bodły tak wesoło, jak owego wrześniowego popołudnia.

Pietrek natomiast, ciekaw tajników pracy zegarmistrzowskiej, został Bartłomieja pomocnikiem. W końcu od środka mógł oglądać wszystkie śrubki, łańcuszki i mechanizmy napędzające zegar. I wierzcie lub nie, pracę tę pokochał bardziej niż asystowanie w kuchni.

A koziołki poznańskie, tak jak przed wiekami rozbawiły tłum zgromadzony na rynku, tak po dziś dzień radują wszystkich, którzy w samo południe przed poznańskim ratuszem stają. ♦

23

ROGOŹNO

O NAZWIE **MIASTA**

Dawno, dawno temu, w tym samym miejscu, gdzie później stał rogoziński zamek, znajdował się solidny i całkiem okazały gród. Miał wiele zalet obronnych, zwłaszcza dzięki otaczającym go bagnom doliny Wełny.

Żył tam bogaty, stary rycerz, który po latach ciężkiej pracy, cieszył się już tylko z małych codziennych przyjemności. Miał trzech dorosłych synów, z których był bardzo dumny. Rycerz był poganinem i wielkim wrogiem nowej wiary. Gdy tylko książę Mieszko I przyjął chrzest, w okolicy zaczęli pojawiać się misjonarze, zachęcający innych, aby poszli w ślady swego władcy. Stary rycerz na słowa Dobrej Nowiny okazał się bardzo oporny.

– A wy tu czego? – wypędzał księży za opłotki. – Ja tam krzcić się nie będę! Mam swoich Daćboga i Swarożyca. Inni bogowie nie są mi do niczego potrzebni!

– A i wy czasem tego nowego Boga czcić nie zaczynajcie! – upominał synów. – Wiarę dziadów pielęgnujcie. Lepiej na tym wyjdziecie.



Ale dzieci, jak to dzieci, rzadko się z rodzicami zgadzają. I jest tak nie od dziś. Najmłodszy syn sprzeciwił się ojcu. Potajemnie, nocą, gdy księżyc świecił, przyjął chrzest święty i nową wiarę. Starsi bracia pozostali wierni pogaństwu i nie zamierzali zmieniać swoich przekonań. Wiedzieli, że srogi ojciec, gdy tylko dowie się o decyzji najmłodszego, rozgniewa się na dobre. Tak też się i stało.

– Czasy się zmieniają. Jako chrześcijan czeka nas lepsza przyszłość – tłumaczył swój wybór najmłodszy z synów.

– Już ja się z tobą rozprawię! O, ty, przeniewierco jeden! Ojca słuchać nie chcesz, to może bat ci rozum przywróci! – krzyczał ojciec co sił w gardle.

Złapał bat i z całych sił zaczął okładać syna. Ten zaś, nauczony przez lata posłuszeństwa, nie miał odwagi się bronić i podnieść ręki na ojca. Stary rycerz, nie potrafiąc opanować swojej wściekłości, bił syna tak długo, aż ten padł nieżywy.

Starsi bracia, gdy tylko dowiedzieli się co zaszło, postanowili pomścić śmierć najmłodszego. Namówili innych rycerzy i poszli rozprawić się z okrutnym ojcem. Otoczyli siedzibę starego poganina i po zaciekłej walce, gdy już ostatni jego sprzymierzeniec padł, poczuli, że sprawiedliwości stało się zadość. Zwycięzcy hucznie świętowali rozprawę „nowego" ze „starym" i na końcu gród spalili. Wydawało się, że wszyscy zginęli, jednak nikt nie mógł odnaleźć ciała starego rycerza. Przeszukali wszystkie zakątki gródka.

– Ojca nie ma! Szukajcie w okolicznych lasach – polecili swoim załogom.

Sami również udali się na poszukiwania. Najstarszy z synów z biegiem rzeki Wełny na zachód szukał. Drugi pojechał w przeciwną stronę. Czwartego dnia po zdobyciu grodu, wśród trzcin i rogoży na brzegu jeziora, najstarszy z synów ujrzał niewyraźną postać całą we krwi. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to ojciec – poraniony i śmiertelnie wyczerpany.

– Ojcze, to ty? – pochylił się nad rannym. – Wybacz nam proszę! Co mogę dla ciebie zrobić? Powiedz!

– Nic synu – odpowiedział stary rycerz. – Mnie już nic pomóc nie może. Wybaczam. I to ja przepraszam, że taki srogi dla was byłem. Okrzcij mnie tylko, to może spotkamy się w tym niebie, o którem misjonarz powiadał.

Syn spełnił życzenie ojca. Zadowolony starzec powrócił wtedy w gąszcza rogoży i tam zakończył żywot.

Szczęśliwy z tak nagłej przemiany ojca, najstarszy z synów na cześć tego zdarzenia założył wokół miejsca przyjęcia chrztu osadę i wyposażył ją jak należy. Niebawem miejsce zaczęto określać nazwą wywodzącą się od owych rogożowych gąszczy, pośród których konał stary rycerz.

Średni syn nie wrócił nigdy do domu. Okazało się, że utonął w jeziorze podczas poszukiwań ojca. Od tego czasu, mniej więcej co dziesięć lat, wychodzi z jeziora postać wielkiego czarnego psa i straszy przechodniów. Pies jest niewiele mniejszy od konia, z jego oczu błyskają ogniki, a z nozdrzy buchają płomienie. Miejscowi ludzie kojarzą zjawę ze średnim synem – pokutnikiem, który pozostał poganinem i do końca swych dni był wielkim wrogiem chrześcijaństwa. ♦

24

JEZIORO
ŻĄDAJĄCE OFIAR

Jeszcze nie tak dawno temu, ludzie dawali wiarę różnym rzeczom. Niby chrzest. Niby jeden Bóg, ale jak kto poza granice największych miast się wychylił… O, tam każdy – tak samo jak o tym, że dzień dniem, a noc nocą – przekonany był, że rzeki i jeziora, a nawet najmniejsze stawy i rowy pełne są demonów. Zwłaszcza te w dzisiejszym powiecie obornickim. Do Rogoźna bokiem przytula się jezioro, a z dwóch pozostałych stron miasto otacza wstęgą rzeki. W takim miejscu przesądy związane z wodą musiały być bardzo silne. I były.



Działo się to w roku pańskim 1823. Dzień wydawał się spokojny, nawet pogodny, dopóki nad jednym z domów nie zaczął unosić się dym. Zaraz potem rozległ się straszliwy krzyk:

– Pożar! Miasto płonie!

Choć jezioro blisko, gasić nie było prosto. Ludzie z wiadrami biegali jak szaleni. Na niewiele się to zdało. Wiatr natychmiast rozwiał płomienie na sąsiednie budynki i ulice. Ani się ludzie obejrzeli, jak pożar trawił już całe miasto. Tragedia straszna. Tłum na ulicach zaczął się gromadzić, bo dachy waliły się na głowy. Wielu spod gruzów wydobywano, dzieci w ostatnich chwilach z płomieni wynoszono.

Nikt nie wiedział, jak żywioł zatrzymać. Lament się podniósł wielki:

– Wszyscy zginiemy!

– Słuchajta ludzie! – woła nagle ktoś z tłumu. – Nie zginiemy! W okolicy Rogoźna jest właśnie Odmówca. Uczony to człek, poślijmy po niego. On pomaga w nieszczęściach, na pewno coś poradzi.

Odmówca zatrzymał się w pobliskiej karczmie, nie miał bowiem własnego domu. Objeżdżał miasta na swym czarnym rumaku, szukając pokrzywdzonych przez los ludzi, by im w niedoli ulżyć. Taki był z niego człek. Nie wiadomo od kogo, ale dowiedział się o nieszczęściu i pognał konia co sił na miejsce tragedii.

– Pomóc wam spróbuję – obiecał.

Sobie tylko znanymi sposobami począł „zamawiać" ogień, aby ten się uspokoił. Płomienie stawały się coraz mniejsze. Wyglądało na to, że zgasną.

– Hura! Niebezpieczeństwo zażegnane! – cieszyli się ludzie.

Ale co to? Płomień buchnął ponownie. Rozgorzał. Słup ognia stanął wielki tak, że nikt wcześniej podobnego mu nie widział. Ze zdwojoną siłą dachy się walą. Miasto pali się znowu!

– Odmówco, cóżeś uczynił?! Czemu pożar znów nas atakuje? – pytali mędrca ludzie pełni strachu.

– Przykro mi. Pomyliłem się podczas „zamawiania" i całe miasto musi spłonąć – odrzekł z pełną powagą.

– Ale jak to!? Miałeś nam pomóc! – zaczęły się oburzać kobiety.

Odmówca, aby dowieść słów swoich słuszności, raz jeszcze począł „odmawiać" ogień. A ten buchał z coraz większą siłą. W końcu mężczyźni nie na żarty się zdenerwowali:

– Tyś nie mędrcem jesteś, a oszustem! Wszystkich nas do diabła poślesz! Jak nie ocalisz naszego miasta, wywleczemy cię na rogatki i ukamienujemy!

Wtedy Odmówca podniósł głos i donośnie krzyknął:

– Aby wam pomóc, złożę ofiarę z siebie. Jeśli na moim koniu przepłynę to jezioro, miasto ulegnie zniszczeniu. Jeśli jednak wraz ze zwierzęciem utonę, miasto ocaleje. Ale za waszą niewdzięczność, za to żeście zabić mnie planowali, rok w rok spadać będzie na tę miejscowość kara. Jeżeli ja utonę, co roku jeden mieszkaniec również straci życie w jeziorze, a gdy któregoś roku tak się nie stanie, w następnym zginą przynajmniej dwie osoby – złożywszy tę dziwną obietnicę, pognał wprost do wody.

Wszyscy zgromadzeni na brzegu jeziora wypatrywali, co też stanie się z Odmówcą.

– Patrzcie! Jest! – krzyknął ktoś, widząc, że ten szczęśliwie dopłynął do połowy.

– Niech utonie, niech pójdzie na dno – szeptały głosy.

I wtedy momentalnie koń z jeźdźcem zniknął pod wodą. Ale po chwili wynurzył się.

– Niech go licho pochłonie! – wołali ludzie, chcąc ocalić miasto.

I wtedy znów tonął. Tak długo jak pozostawał na powierzchni, słyszał utyskiwania, gdy znikał, pojawiała się radość.

W końcu nie wynurzył się już ponad taflę jeziora. Wnet pożar zaczął gasnąć, aż ustał całkowicie. Niektórzy widzieli ponoć jak jeździec z całych sił wciskał głowę konia do wody.

– Szukał śmierci – mówili. – Niewesoło mu było do wściekłych ludzisk wracać.

Przepowiednia, niestety, sprawdziła się co do joty. Zdarzało się, że co roku ktoś znikał w odmętach jeziora, a w niektórych latach nawet kilka osób. Na szczęście to już historia. Dziś Jezioro Rogozińskie to chętnie odwiedzane miejsce wypoczynku i rekreacji. ♦

25

RZGÓW

O ZAŁOŻENIU **RZGOWA**

Było to bardzo, bardzo dawno temu, bo historia dotyczy XII wieku. Do opactwa cystersów w Lądzie, leżącym osiemnaście kilometrów od Rzgowa, przybywało coraz więcej młodych ludzi pragnących służyć Bogu. W pewnym momencie było ich tak wielu, że ziemie, które posiadali cystersi nie były ich w stanie wyżywić. Wtedy opat wezwał do siebie trzech najdzielniejszych mnichów i rzekł do nich:

– Jakubie, Jerzy i Grzegorzu opuścicie klasztor i udacie się na poszukiwanie nowych terenów, które zapewnią nam godziwe życie. Najlepiej, aby były to ziemie z dala od Warty, aby nie zalewała zasiewów. Dobrze, aby w pobliżu był las to zapewni nam dostęp do zwierzyny.

Twarde prawo zakonne nakazywało bezwzględnie posłuszeństwo wobec przełożonych, więc bracia pokornie przyjęli polecenie i zaczęli gotowić się do drogi. Długo zastanawiali się w jakim kierunku rozpocząć wędrówkę, każdy z nich chciał iść w inną stronę. W końcu Jakub jako najstarszy z nich zadecydował:

– Pójdziemy na południe, w kierunku słońca, które doprowadzi nas do celu – powiedział.



Bracia posłuchali Jakuba i wyruszyli w drogę. Szli przedzierając się przez napotkane na drodze zarośla, a słońce piekło niemiłosiernie. Zmęczeni postanowili odpocząć. Dochodziło południe, gdy zobaczyli przed sobą małą rzeczkę, a w niej pluskające ryby. Złowili kilka ryb, upiekli je w ognisku i myśleli co dalej. Rozłożysta wierzba dawała im upragniony cień. Nie mogli oderwać oczu od przepięknego widoku. Łąki całe w kwiatach, a po nich majestatycznie stąpające bociany. Nad głowami co chwilę przelatywały chmary ptaków. Cieszyli się tym widokiem, ale cel ich wyprawy był inny.

Grzegorz, który nie miał ochoty dalej wędrować powiedział do swoich braci:

– Może zostaniemy tutaj? Rozejrzymy się po okolicy, po co szukać dalej. Jest kawałek ziemi, jest rzeczka to i pożywienia nam nie zabraknie.

Na to odezwał się Jerzy:

– Lasu nie widać, to gdzie zwierzynę upolować, a poza tym chyba nie odeszliśmy daleko od opactwa. Nie, musimy iść dalej.

Jak postanowili tak też i zrobili – ruszyli w dalszą drogę.

Kiedy zbliżał się wieczór ponownie postanowili poszukać miejsca gdzie będą mogli odpocząć i spędzić noc. I wtedy oczom ich ukazało się przedziwne miejsce. Ujrzeli polanę otoczoną gęsto porośniętymi krzewami o bardzo ostrych kolcach. Wówczas Jakub powiedział:

– Opatrzność cały czas czuwała nad nami, a teraz wskazuje nam miejsce na spędzenie nocy.

– Masz świętą rację – odpowiedział Jerzy. – Zostańmy tu. W oddali widać las to i opat będzie z nas zadowolony, że sprostaliśmy jego poleceniom.

Znaleźli przestrzeń między krzewami i przedostali się na polanę. Krzewy chroniły ich przed dziką zwierzyną, słońce chyliło się ku zachodowi. Przesłało im ostatnie promyki i szybko zniknęło za drzewami. To był wyraźny znak, aby dalej nie wędrować, bo zastanie ich noc. Rozpalili więc ognisko, aby przyrządzić sobie wieczerzę. Przygotowali także legowiska i zmęczeni wędrówką szybko zasnęli. W nocy okazało się jednak, że to nie było dobre miejsce. Za każdym razem, gdy próbowali podnieść głowę albo przewrócić się na drugi bok coś ich mocno kłuło (żgało). Kiedy na dobre rozwidniło się, zobaczyli, że to krzewy, głóg i tarnina. Kolce tych krzewów dotkliwie ich poraniły, a leżące pod nimi owoce piekły ich skórę. Rano postanowili rozprawić się z krzewami, aby zostać tu chociaż jeszcze jedną noc.

– Słuchajcie, bracia, musimy część tych krzewów usunąć – nakazał Jakub. – Inaczej w kolejną noc znowu nas pożgają.

– Zgoda – odparł Grzegorz. – Trzeba też wyrzucić z polany wszystkie piekące owoce.

Jerzy przysłuchiwał się braciom i w końcu stwierdził:

– Nie będzie to łatwe. Nie mamy nic oprócz własnych rąk, a kolce będą sprawiały ból.

Mimo to ochoczo zabrali się do pracy. W trakcie usuwania zarośli jedna z wystających gałęzi boleśnie ugodziła Grzegorza w oko. Poczuł silny, piekący ból. Jakub i Jerzy opatrzyli mu oko jak umieli. Poszukali roślin, którymi leczyli się w klasztorze. Babka lancetowata miała uczynić cuda, ale nie uczyniła.

Grzegorza chwyciła wysoka gorączka i nie miał siły iść dalej. Pozostali więc na miejscu. Jerzy z Jakubem udali się upolować jakąś zwierzynę, aby przygotować choremu bratu pożywną strawę. Kiedy wrócili na polanę Grzegorz spał mocnym snem. Nie budzili go. W ciszy przygotowali jadło dla siebie i brata. Szeptem opowiadali sobie co widzieli podczas tej krótkiej wyprawy.

– Wiesz – mówił Jerzy. – Znalazłem w pobliżu małą rzeczkę, z której możemy brać wodę, a za polanką jest żyzna gleba i glinianki, z których możemy czerpać glinę.

– A ja – rzekł Jakub. – Znalazłem drugą małą polankę, gdzie nie ma śladu ludzkiej stopy. Ta ziemia jest niczyja, więc może być nasza.

Kiedy przygotowali posiłek obudzili Grzegorza. Ten zjadłszy, opowiedział im, co mu się w nocy przyśniło:

– W nocy odwiedził mnie anioł. Rozłożył nade mną swoje wielkie skrzydła, jakby chronił mnie przed czymś bardzo złym. Kiedy chciałem go dotknąć i zapytać czy przeżyję, zniknął. Zatem sen, ale jaki piękny. To chyba dobry znak, że przeżyję. I rzeczywiście gorączka powoli opadła, a Grzegorz poczuł się lepiej i ciągnął swoją opowieść dalej:

– Drugi raz anioł nawiedził mnie teraz, kiedy byliście na polowaniu. Powiedział mi, abyśmy nie opuszczali tego miejsca. To nasze przeznaczenie i cel naszej wędrówki.

Spojrzeli po sobie myśląc, że Grzegorz ciągle majaczy w gorączce. Ale on mówił dalej przekonująco:

– Popatrzcie jaka wokół bujna zieleń. To bardzo żyzny kawałek ziemi. Wyżywi nie tylko nas, a krzewy i glina będą dobrym budulcem przy wznoszeniu osady.

Bracia posłuchali Grzegorza i postanowili, że tu pozostaną, a na miejscu wykarczowanych krzewów założą osadę. Zebrali się do usuwania krzewów. Te żgały bardzo ich ręce, ale pracowali wytrwale aż usunęli znaczną część zarośli. Wtedy stwierdzili, że jest wystarczająco dużo miejsca, aby rozpocząć wznoszenie osady. Surowiec mieli na miejscu, więc prace postępowały szybko. Pobudowali pierwszą gliniankę, założyli ogród i zasiali zboże. Wtedy pomyśleli, że trzeba powiadomić opata i przekazać, co udało im się osiągnąć. Zadowolony opat przysłał jeszcze kilku mnichów i osada rosła jak grzyby po deszczu.

Tylko Jakub chodził jakiś smutny. Znalazł bowiem piękną polankę, na której nic się nie działo. Widząc to, Jerzy zawołał wszystkich braci i powiedział do Jakuba:

– Jakubie, to ty znalazłeś miejsce, na którym można wznieść świątynię. Będzie gdzie Bogu dziękować za wszystko dobre, co nas spotkało.

Siedlisko braci rozwijało się, rosło z dnia na dzień, ale nie miało nazwy. Któregoś dnia podczas wieczerzy Jakub zaproponował, aby na pamiątkę przygody, jaka spotkała Grzegorza osadę nazywać Żgołem. Bracia przytaknęli i tak zostało. Nazwę zmieniono później na Irgowo, Żgowo aż w końcu został Rzgów i tak jest do dzisiaj. A gałązka głogu stała się symbolem nie tylko wsi, ale całej gminy, i jest umieszczona w jej herbie. To tylko legenda, ale jest tak wiarygodna, że można ją uznać za fakt. ♦

18

SOMPOLNO

O HIERONIMIE I KAPLICY NA PUSZCZY

Ten prosty, drewniany kościółek znajdziecie na lewym brzegu Noteci. Jest tak skromny, że nie ma nawet wydzielonego prezbiterium. Od zachodu dobudowano prostokątną kruchtę, a całość nakryto blaszanym dachem z wieżyczką. To kaplica świętego Hieronima, którą miejscowi trafnie nazwali kaplicą „Na puszczy". Określenie dobrze oddaje jej położenie – wokół las i cmentarz. Kościółek wzniesiono prawdopodobnie dzięki staraniom księdza Stefana Kiełczyńskiego w 1732 r., ale kto wie czy nie ma on o wiele dłuższego rodowodu...

Grunty kościelne, na których znajduje się kapliczka, nazywano ostrówkiem, czyli wysepką. A jeśli był ostrów, musiała być też woda. I rzeczywiście – na starych mapach nieopodal Sompolna znajdowało się jezioro, które łączy z naszą kapliczką pewna historia.

Mieli na imię Florian, Roch i Hieronim. Byli braćmi biednymi jak myszy kościelne. Żyli setki lat temu w Czechach. Gdy głód im już dłuższy czas doskwierał, powzięli trudną decyzję:

– Chcę wyruszyć na południe – oznajmił pewnego dnia Florian.

– Nie puszczę cię samego! – zaprotestował Roch.



– A ja słyszałem, że Polska jest bogata i podobno piękna. Jeśli tam się wybieracie, idę z wami! – dołożył swoje trzy grosze Hieronim.

I wyruszyli. Z trudem przedzierali się przez skaliste góry, na szczytach których, mimo wiosennej pory, wciąż zalegał śnieg. Tylko dzięki wzajemnej pomocy pokonali trudną drogę i udali się dalej na północ. Pewnego dnia dotarli na Kujawy.

– Ale tu pięknie! – zawołał Florian na widok pola obsianego rzepakiem. – Tu mógłbym mieszkać! – dodał.

Zbliżyli się do studni, aby zaczerpnąć wody. Wtem podeszła do nich piękna dziewczyna.

– Z daleka przybywacie? – zapytała.

Gdy powiedzieli, że z Czech, poprosiła, aby byli wieczorem gośćmi u niej i jej ojca. Nie odmówili, a najbardziej rad był Florian. Oka nie spuszczał z pięknej niewiasty. I gdy tylko dowiedział się, że kobiecie i starcowi przyda się pomoc, zaoferował, że zostanie.

– Dalej idźcie sami, bracia – oznajmił. – Ja właśnie znalazłem swoje miejsce tu, nieopodal Izbicy Kujawskiej.

Nie minął rok, jak wziął ślub z piękną i zamożną dziewczyną. Nie wiedział, jak wyrazić wdzięczność za szczęście, które go spotkało. Długo się zastanawiał, aż pewnego dnia oznajmił żonie:

– Najdroższa, tylko dzięki łaskawości dobrego Boga przedarłem się z braćmi przez góry i trafiłem do ciebie. W podzięce za udaną podróż i otrzymane łaski pragnę wznieść niewielką świątynię.

I niedługo potem powstał drewniany kościół pod wezwaniem św. Floriana, jego imiennika.

Roch i Hieronim ruszyli dalej. Wędrowali, aż dotarli na teren Piotrkowa. Pewnego dnia Roch kupił od gospodarza ziemniaki i odsprzedał je kupcom z zyskiem. Postanowił założyć stragan. Szybko wzbogacił się i został jednym z najbardziej znanych kupców w okolicy. Wdzięczny za opiekę i łaskę Boga, wzniósł kościół pod wezwaniem swego patrona – św. Rocha.

Tymczasem Hieronim ruszył dalej bez celu. Był człowiekiem bardzo bogobojnym. Dotarłszy do puszczy nieopodal Sompolna, postanowił się tam osiedlić. Zbudował mały drewniany szałas, w którym żył skromnie. Miał tylko stół, łóżko i gliniany kubek. Nigdzie się nie spieszył, nie gnał do żadnych obowiązków. Codziennie wyprawiał się do lasu w poszukiwaniu pożywienia: korzonków, grzybów, jagód. Czasem dobrzy ludzie przynieśli mu kaszę, warzywa czy pajdę chleba

z miodem. Pozostałą część dnia spędzał na studiowaniu Biblii. Nic dziwnego, że zaczęto go uważać za mędrca. Słynął również z tego, że nawet dzikie zwierzęta nie czyniły mu krzywdy.

Podobno pewnego razu do jego szałasu wszedł wilk. Pustelnik nie przeląkł się drapieżnika, lecz odważnie i z ufnością popatrzył mu prosto w oczy. Na zranioną łapę założył mu opatrunek. Od tego czasu wszystkie dzikie zwierzęta opiekowały się samotnikiem. Ludzie nie mogli się temu nadziwić. Jedni nazywali go cudakiem, drudzy wymyślali o nim różne historie, a jeszcze inni uważali za świętego.

Pewnego dnia, gdy jak co dzień czytał Biblię, jego wzrok zatrzymał się na fragmencie, który mówi: „Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam".

– Boże – modlił się w swojej samotni. – Jeśli taka jest twoja wola, pozwól mi tak, jak braciom, postawić kościół albo chociaż malutką kaplicę, taką tyciutką. Niczego mi nie brakuje. Chciałbym tylko okazać ci wdzięczność. Nie mam pieniędzy, aby go fundować. Nie jestem ani cieślą, ani murarzem, ale wierzę, że jeśli Ty będziesz chciał, znajdziesz sposób na postawienie świątyni.

Zamknął Biblię, ale nie przestawał się modlić. Robił to tak długo, aż w końcu zmęczony zasnął. Obudziły go spadające na twarz krople deszczu. Klepisko całe stało już w wodzie. Wybiegł na zewnątrz i zobaczył, że wody pobliskiego jeziorka połączyły się deszczowymi potokami i rzeczkami. I nagle... przetarł oczy ze zdumienia.

– Nie do wiary! – krzyknął.

W jego kierunku płynęła niesiona strugami deszczu kapliczka. Gdy przestało lać, z pomocą wiernych przetransportował ją na suchy grunt. I stoi w tym miejscu do dziś. W Sompolnie przez lata opowiadano historie o tym, w jaki sposób Bóg wysłuchał gorliwych modłów ascety. Hieronim pytany o te wydarzenia, zawsze odpowiadał: „Pewnego dnia przy wiosennym podniesieniu wody kościółek przypłynął do mnie, niczym niesiony przez Pana. W zasadzie nie wiadomo, skąd i jak".

Ile prawdy jest w tym podaniu, nikt już dziś nie wie. Faktem jest jednak, że kaplica stoi i jest najstarszym zabytkiem Sompolna. W każdą ostatnią niedzielę września, w czasie odpustu, można wejść do wnętrza kościoła i zobaczyć na własne oczy obraz św. Hieronima. A naprawdę warto! ♦

ŚLESIN

O PIĘKNEJ, **ACZ DUMNEJ KLARZE**

Dawno temu, jeszcze w średniowieczu – bowiem historia miejscowości sięga roku 1231 – Ślesin leżał na ważnym trakcie handlowym, którym kupcy z Kalisza podróżowali na Kujawy. Na obładowane towarami wozy czyhało często niebezpieczeństwo. W głębi prastarych puszcz grasowała zbójnicka banda. Składała się głównie z drobnych łotrów, ale wśród rozbójników zdarzali się i rycerze znudzeni spokojnym gospodarowaniem. Jeden z nich, niejaki Garczko, zwany Garczyńskim, był z pochodzenia szlachcicem, ale został hersztem bandy. Niezły to był ananas!

Gdy tylko obsadzono go na stanowisku, rozkazał:

– Jak ja mam tu dowodzić, wznieść musimy porządną siedzibę.

I zabrał swoją zgrają nad Jezioro Ślesińskie.

– Tam zbudujemy naszą warownię – powiedział, wskazując na ostrów.

Niebawem zamczysko było gotowe, a wysepki na jeziorze zaczęto nazywać Wyspami Zbójeckimi. Długie i wąskie jeziora polodowcowe nie od dziś są jedną z głównych atrakcji regionu. Na południowym końcu Jeziora Mikorzyńskiego swój zamek wzniósł rycerz Janko. Ambitny był i bogactwa szukał. Pewnego razu oznajmił swej brzemiennej żonie:



– Zaciągnąłem się na wyprawę do Ziemi Świętej. Wrócę bogaty.

Niestety już nie wrócił. Jego córka Klara, znała go tylko z opowiadań. Gdy matka zmarła, Klara trafiła na wychowanie do dalszej rodziny. Wyrosła na piękną dziewczynę, o której miłość zabiegało wielu.

– Klarciu, czy to Janusz z Mikorzyna śpiewa serenady pod murami? – dopytywała ciotka.

– Tak, to… on – jęknęła dziewczyna, zasłaniając okno.

– Dlaczego nie chcesz z nim pomówić? On ze wszystkich twych adoratorów jest najbardziej rozsądny i mężny.

– Pewnie zależy mu tylko na moim majątku – machnęła ręką Klara.

Janusz aparycję miał nienaganną. Jego srebrna zbroja lśniła się w promieniach słońca, biały płaszcz powiewał na wietrze, a śnieżnobiały rumak uchodził za najszybszego w okolicy. Gdy tylko się zbliżał szeptano: „Biały Rycerz". Niejedna panna marzyła, by porwał ją w swe objęcia. Ale nie Klara… Za to on kochał się w Klarze bez pamięci.

– Dziecko – prosiła ją ciotka. – Nie tylko szata zdobi człowieka. Daj mu szansę.

Janusz nie posiadał się ze szczęścia, gdy panienka wreszcie przekazała mu: „Wyjdę za Ciebie, gdy okryjesz się chwałą". Pojechał więc w zamorskie krainy szukać okazji do dokonywania czynów rycerskich. Przed odjazdem spotkał się z dziewczyną.

– Klaro, to mój pierścień rodowy – powiedział, kładąc okazały sygnet w jej niewielką dłoń. – Jeśli kiedykolwiek będziesz w niebezpieczeństwie, przekaż go zaufanemu słudze. Przybędę niezwłocznie i z tarapatów cię wybawię.

Wzięła pierścień niechętnie. Nie przypuszczała, że podarunek ten niebawem uratuje jej życie.

Był słoneczny dzień, gdy Klara wraz z dworzanami i przyjaciółmi wybrała się na polowanie. Zajechali głęboko w Bory Ślesińskie.

– Jeleń. Tam, za drzewami – wskazał tropiciel.

Klara udała się we wskazanym kierunku. Oddała strzał i zaraz potem zawołała:

– Tylko go zraniłam.

Zwierz porwał się do ucieczki, a ona niewiele myśląc pogalopowała za nim. I już miała znów wycelować, gdy nagle czyjaś strzała przebiła serce zwierza. Ubranym na czarno myśliwym był Garczyński.

Dumna pannica podjechała do niego i zaczęła się wykłócać:

– Pierwsza go postrzeliłam! Jest mój!

Garczyński, onieśmielony urodą i odwagą dziedziczki, rzekł:

– Weź sobie to truchło. Jestem do twych usług pani.

Ale ona spojrzała na niego z wyższością i z uśmiechem powiedziała:

– Dobre sobie! Do czegóż mogłabym potrzebować usług takiej szumowiny jak ty!?

Garczyński poczerwieniał ze złości, ale przełknął tę zniewagę w milczeniu.

– Jeszcze będziesz moja! Zobaczysz! – rzucił na odjezdne i zniknął.

Po kilku dniach przed bramą zamku Klary zjawił się orszak rycerzy w czarnych zbrojach. Garczko prężył się na swym rumaku. Klara, zgodnie z prawem gościnności, przyjęła ich uprzejmie, ale chłodno. Wtem Garczyński padł przed nią na kolana:

– Piękniejszej nad ciebie nie znam. Dzielna i dumna niewiasto, pozwól mi się uszczęśliwić! Zostań moją żoną! Już wyjął pierścionek, ale mina Klary ostudziła jego zapał.

– Ja mam zostać żoną bandyty? Nigdy! – prychnęła.

Garczyński urażony odmową odjechał, miotając przekleństwa na wszystkie strony. Wiadomo było, że takiej zniewagi nie puści płazem. Klara spodziewała się zemsty, dlatego rozkazała przygotować zamek do obrony i zgromadzić zapasy. Garczyński napadł na zamek jeszcze tej samej nocy. Dworzanie i służba zginęli lub zostali obezwładnieni, a Klara porwana. Zachowując resztki zimnej krwi, przekazała służącej pierścień Białego Rycerza z prośbą, aby oddała go Januszowi.

Ten, gdy tylko dostał pierścień, zebrał pośpiesznie drużynę i ruszył na odsiecz Klarze. Nie udało mu się wziąć zamku rozbójnika szturmem, bo ludzie Garczyńskiego zorientowali się, co się szykuje. Oba orszaki spotkały się przed zamkiem. Janusz i Garczko ruszyli na pojedynek. Po długiej walce, Janusz zranił Garczyńskiego i uwolnił Klarę. Rozbójnik i jego kamraci zostali uwięzieni, a Biały Rycerz ponownie poprosił dziewczynę o rękę, licząc, że ta mu nie odmówi.

– W niewoli uczyniłam ślub Bogu, że resztę życia spędzę w klasztorze – oznajmiła.

Cóż miał zrobić? Odwiózł ją do Mikorzyna. Minęły trzy lata, ale Klara nie wstąpiła do klasztoru. Kazała postawić sobie kaplicę przy zamku i spędzała w niej każdą wolną chwilę. Biały Rycerz

mając nadzieję, że ukochana zmieni zdanie, poprosił arcybiskupa gnieźnieńskiego o zgodę na zdjęcie z niej ślubów. Wielebny zgodził się i Janusz jak oszalały pędził do Mikorzyna.

W tym czasie od dwóch tygodni padał ulewny deszcz. Rzeki i jeziora zaczęły występować z brzegów. Rycerz dotarł w końcu na miejsce i jego oczom ukazał się bardzo niepokojący widok. Wzgórze, na którym stał zamek Klary, było odcięte od lądu, stało się wyspą. Wody jeziora wezbrały, sprawiając, że większość zabudowań runęła.

– Klaro, uratuję cię! – zawołał Janusz i rzucił się w toń jeziora.

Po jakiś czasie poziom wody co prawda nieco opadł, ale jezioro nie wróciło do pierwotnych granic. Wzgórze zamkowe na zawsze już stało się wyspą. Klara ocalała, ale ciała Białego Rycerza nigdy nie odnaleziono.

Małą zieloną wysepkę na środku Jeziora Mikorzyńskiego ludzie do dzisiaj nazywają Wyspą Zakochanych lub Wyspą Klary. Podobno właśnie tam dziewczyna spędziła resztę swego życia, a każdego dnia rozpaczała za ukochanym:

– Kochałam ja Rycerza Białego! Oj, zbyt dumna byłam jednak, by mu wyznać, że chcę być jego. Żal okrutny serce me teraz ściska. Miejsce moje jest tutaj, wśród ruin tego zamczyska.

Ponoć kamienny krzyż z datą jej śmierci (1338 rok) istniał jeszcze na początku XX stulecia. Co się z nim potem stało – nie wiadomo. Podobno jeszcze jakiś czas temu, gdy poziom wody w jeziorze opadał, wyłaniały się pozostałości zamku Klary, a w księżycowe noce duch Białego Rycerza rzucał się w wody jeziora. Kto to jednak pamięta? Przecież wszystko to wydarzyło się dawno, dawno temu. ♦

ŚMIGIEL

O STU **WIATRAKACH**

Czy słyszeliście kiedyś nazwę „Miasto stu wiatraków”? Jeśli tak, to z pewnością chodziło o Śmigiel – miejsce o wspaniałych tradycjach młynarskich i barwnej historii. Nawet niezbyt wprawny obserwator dostrzeże, że ślady przeszłości widać w Śmiglu niemal na każdym kroku.

Źródła pisane potwierdzają, że już w 1415 roku w rejonie obecnego Placu Rozstrzelanych w Śmiglu stał jeden wiatrak. Największa ich udokumentowana liczba to 52 w 1860 roku. Charakteryzowały się tym, że ustawione były blisko siebie, a więc podróżnym ukazywał się nietuzinkowy młyński krajobraz Śmigla.

Spacerując po Śmiglu miałam niebywałe szczęście spotkać starego młynarza, u którego w rodzinie fach przekazywany był z dziada, pradziada przez wiele pokoleń. Chcąc zaspokoić swoją ciekawość, zapytałam go:

– Dlaczego wiatrak kozłowy nazywany jest właśnie koźlakiem?

– Taki wiatrak, moja droga, zbudowany jest na drewnianym koźle, czyli konstrukcji z wielkich bali z drewnianą osią, służącą za usztywnienie. Wirnik do kierunku wiatru nastawiano



ręcznie. Przymocowywano do niego belkę i obracano na niej całą konstrukcję wiatraka – wyjaśnił z ochotą.

– Obracano całą konstrukcję wiatraka na belce?! – pytałam z niedowierzaniem.

– No a jakby inaczej – odpowiedział młynarz. – Wtedy śmigła, zwane śmigami lub skrzydłami, mogły przyjąć odpowiednie położenie w stosunku do napędzającego je wiatru. Śmigi mocowano na potężnej osi, na której było też ogromne drewniane koło zębate z systemem prostych, ale masywnych przekładni, poruszających kamienie młyńskie.

– Czy kiedyś było tu dużo koźlaków?

– Oj tak. Już w średniowieczu miejscowość znana była w całym regionie. Renoma tutejszego cechu młynarskiego sięgała na całą Wielkopolskę – podkreślił wyraźnie dumny młynarz. – Pod koniec XVI wieku było już w mieście pięć koźlaków. A potem stale ich przybywało. Gdy ktoś szukał w okolicy młyna, mówiono mu: „Idź do śmigaja – tam, gdzie śmigi widzisz". I tak, od tych śmigów, albo też od śmigaja, czyli młynarza, przyjęła się prawdopodobnie nazwa Śmigiel. Coraz więcej chętnych chciało dołączyć do grona śmigajów. W końcu wokół Śmigla powstało 99 wiatraków. I nikt nie mógł wznieść setnego...

– I to wtedy w mieście zaczęły dziać się dziwne rzeczy? – zapytałam.

– Tak. To był czas, gdy Jerzy, syn Macieja Młynarza zaczął własny wiatrak wznosić, i wówczas koźlak Macieja doszczętnie spłonął. Złośliwi mówili, że syn chciał wygryźć ojca z interesów. Ale niebawem powtórzyła się identyczna sytuacja: gdy Grzegorz Młynarz zaczął budować wiatrak, spłonął koźlak Bogumiła Młynarza. Po nich wielu próbowało postawić setny wiatrak, ale nikomu się to nie udało.

– Ludzie pewnie długo zastanawiali się, dlaczego tak się dzieje?

– Oj tak. Próbowano wytłumaczyć wszystko „klątwą młynarczyka" – uśmiechnął się pod nosem młynarz.

– A dlaczego? Na czym ona polegała? – próbowałam dowiedzieć się jak najwięcej.

– To historia banalnie prosta. Był sobie pewnego razu młynarczyk, który miał na imię Marcel. Chodził zawsze w obdartych spodniach, dlatego mówiono na niego „Obdartek". Znała go cała okolica, bo niesforny był bardzo i stale przyciągał jakieś nieszczęścia. Stary Józek, mieszkający

w wiosce nieopodal Śmigla, z litości przyjął go na swego ucznia i fachu młynarskiego chciał nauczyć. Obdartka dopiero co wyrzucono z młyna w trzecim roku nauki, a rajcy miejscy wygnali go ze Śmigla za pijaństwo i skłonność do bójek. Bez patentu czeladniczego, głodny, szukając zajęcia i schronienia, trafił do litościwego Józka, który przyjął urwisa pod swój dach. Ale co się z tym łobuzem nabiedził, on jeden tylko wiedział. Nie raz wołał: „Obdartek, pomóż mi proszę, bo ręce stare już mnie bolą! Marcel, gdzie jesteś?". A ucznia jak nie było, tak nie było. Znajdował go potem śpiącego na jednym z worków mąki. Dużo litości miał Józek, wierzył, że ten hultaj się zmieni, ale czas uciekał. Pewnego dnia Józek rozchorował się i tak rzekł do Marcela: „Załaduj worki z mąką na wóz i przekaż kupcowi. Przyjdzie po nie o zachodzie słońca". Chłopak nawet pracę zaczął, jednak szybko mu się znudziła. Postanowił napić się piwa, bo gorąco było niemiłosiernie. Godzina nie minęła, a dwa dzbany opróżnił. Wesolutki coraz bardziej niedbale wory na wóz wkładał. W pewnym momencie, gdy odwrócił się po kolejny pakunek wóz stoczył się ze wzgórza wprost do rzeki. O zachodzie słońca kupiec stanął pod młynem. Puka, ale nikt nie otwierał. „Jest tu kto!?", zaczął nawoływać. W końcu chory Józek się zerwał. Przyszedł, spojrzał i za głowę się złapał. Wóz z mąką w rzece, a Marcel śpi w najlepsze z głową opartą o puste dzbany. „Miarka się przebrała!", krzyknął. Uczeń przebudził się i pijany jeszcze zaczął biegać dookoła wiatraka, aż wpadł w jego tryby i zginął na miejscu w okropnych cierpieniach.

– Teraz rozumiem. To za swoją tragiczną śmierć mścił się na całym cechu młynarzy – zwróciłam się w zadumie do swojego rozmówcy.

– Winił ich za swój los – kontynuował starszy mężczyzna. – I gdy tylko w mieście stawiano setny wiatrak, wówczas upiór młynarczyka podkładał pod któryś z młynów ogień. Taka to była historia.

– A czy pan jest dumny z bycia młynarzem?

– O tak, ale wiesz, kiedyś to był prestiżowy zawód, a teraz prawdziwych młynarzy jest już jak na lekarstwo. Nowoczesność wyparła dawne praktyki. I nie ma co się dziwić. Teraz jest ludziom wygodniej. Już na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku wiatraki zaczęły znikać z pejzażu Śmigla. Do teraz zachowały się już tylko dwa koźlaki na wzgórzu przy wjeździe do miasta. Tam, od strony Poznania – wskazał dłonią kierunek. – To nasza chluba i symbol miasta.



Stojące wiatraki doskonale przypominają ludziom o dawnych, śmigielskich tradycjach. Mają nawet swoje imiona: Serwacy i Pankracy. Był jeszcze trzeci – Bonifacy, ale niestety spłonął. Latem na wzgórzu odbywają się ciekawe festyny, podczas których oglądać można wystawy malarstwa i rękodzieła. Wszyscy zainteresowani mogą wejść do wnętrza dawnego wiatraka i dokładnie poznać jego wyposażenie. Śmigiel z pewnością stanowi szczególne miejsce na Wielkopolskim Szlaku Wiatracznym. ♦

29

TRZCIANKA

O TRZCIANECKIEJ **SARENCE**

Kojarzycie figurkę ślicznej sarenki w Trzciance? Nie wiecie pewnie jednak, że wiąże się z nią pewna historia… o krawcu.

Działo się to prawie dwieście lat temu. Żył sobie w Trzciance krawiec, Norbert mu było na imię. Dobry i poczciwy człowiek. W całej okolicy co ważniejsze roboty jemu zlecano, bo jak co uszył to porządnie, długie lata wytrzymywało. Pannom szył suknie na wielkie okazje, do dworskich salonów poduchy, do kościoła zdobne proporce.

Tamtego dnia siedział jak zwykle przy swojej robocie, gdy drzwi się otworzyły.

– A, to ty, Marysiu, wejdź, wejdź – zaprosił do wnętrza kowalową. – Co cię do mnie sprowadza?

– Sukni będę potrzebowała dla córki. Za mąż wychodzi. A może przy okazji i dla mnie coś byś uszył?

– O, szczęście do waszego domu zawitało! – pogratulował krawiec. – Z pewnością dla obu pań coś odpowiedniego wymyślimy.

– A twojej żonie jak się wiedzie, powiedz no? Markotny jesteś taki – zauważyła kowalowa.

– Cóż mam ci powiedzieć – ściszając głos, aby żona z drugiej izby nie słyszała, dodał – jest coraz gorzej. Czas mija, a ona z każdym dniem ginie w oczach. Sama widzisz, że po kuchni już się nie krząta jak dawniej. Leży cały czas. Z sił opadła zupełnie. Widzieć nikogo nie chce.

– A u lekarzy jakich byliście? No i coś przecież powiedzieli, prawda? – drążyła kobieta.

– Wołaliśmy medyków i z gminy i z miasta, i nawet z daleka kilku przyjechało. Wszyscy tak samo odpowiadali: „Nie wiem na co choruje, nic niestety nie mogę pomóc".

– Ech, trudna sprawa – zamyśliła się kowalowa. – Ale jakieś rozwiązanie przecie być musi. Już wiem! – podskoczyła w miejscu i podrapała się po głowie. – Dlaczego ja wcześniej o tym nie pomyślałam, dlaczego?!

– Marysiu, co ty wygadujesz? – zdziwił się Norbert.

– A może i wygaduję, ale sam zobaczysz. Jest nadzieja dla twej żony. Ale zrób, co ci powiem – rzekła. – Idź głęboko w las, na północ. W odległości dnia drogi, niedaleko Niekurska, znajdziesz jaskinię – tłumaczyła powoli. – Mieszka w niej pustelnik. Idź o radę go pytaj. Słyszałam, że niejeden raz w tak zwanym beznadziejnym przypadku ten człowiek miał jakąś cudowną radę.

– Obiecuję się nad tym zastanowić – usłyszała, gdy była już na progu.

„Dzień drogi w jedną stronę. Przecież łącznie dwa dni pracy bym stracił! Cenne dwa dni! W mojej sytuacji nie mogę sobie na to pozwolić" – krawiec rozważał propozycję. I zabrał się za szycie.

Nazajutrz wstał jak zawsze, teraz jednak wcześniej niż bywało to kiedyś. Poza swoją pracą bowiem, również obowiązki domowe wykonać musiał.

– Marto, Marto! – woła do żony, chcąc ją uściskać na powitanie. Ta jednak ledwie oczy otwierała.

– Norbert… Kochany mój… Dobrze, że jesteś – mówiła słabym głosem. – Dobrze… – i ze słabości w sen zapadła.

– O, nie! – zawołał strapiony. – Nie stracę cię! Za radą kowalowej pójdę do tego pustelnika. Czekaj tu na mnie, Martusiu. Zobaczysz, wrócę i wszystko będzie lepiej!

Ucałował żonę na pożegnanie. Spakował nieduży węzełek, poprosił sąsiadkę, aby jej doglądała i ruszył w drogę.

Krawiec nigdy nikomu nie wyjawił, co mu pustelnik polecił. Do dziś pozostało to ich świętą tajemnicą. Wiemy za to, że wracając do domu znalazł poranioną, ledwie żywą sarenkę.



– Chodź ze mną malutka. Obiecuję, że będę dbał o ciebie. Mam w domu żonkę chorą, z którą cały dzień nie mogę przesiadywać, bo pracuję. Będziesz dobrym dla niej towarzystwem.

Ufne spojrzenie sarny przypominało mu oczy jego Marty. Tym chętniej niósł zwierzę całą drogę do domu.

– Tu będziesz spać – wskazał na miejsce koło pieca. – Będzie ci cieplutko i szybko wydobrzejesz.

Marta rano oczy otworzyła i z zaskoczeniem poczuła, że sarna liże ją po policzku. Chora kobieta pierwszy raz od dawna się uśmiechnęła, pogłaskała ranne stworzenie i podsunęła mu miseczkę z wodą.

– Pij, proszę – powiedziała cichutko.

Norbert dokładnie opatrzył rany zwierzęcia. Od wiejskiego weterynarza maści specjalne przyniósł. Mlekiem napoił. O, troski mu odmówić nie było można. Z równym zaangażowaniem opiekował się teraz obiema – żoną i sarną.

Obecność żyjątka sprawiała, że w chacie krawca zaczęło się robić weselej. Z dnia na dzień sarenka wracała do zdrowia i, co jeszcze bardziej zdumiewające, zdrowiała również Marta.

Kiedy sił miała już na tyle, aby z łóżka wstawać, podeszła do męża.

– Kochanie, nie wiem jak to się stało, ale chyba niebiosa same zesłały pod nasz dach to dobre i urocze zwierzę.

– Kto to wie, kto to wie najdroższa, pewnie i tak jest – uśmiechnął się tajemniczo. – Rad jestem, że obie coraz więcej sił macie.

Na twarz krawca wrócił dawno niewidziany uśmiech. Widząc żonę w pełni sił, w końcu ze spokojnym sercem z domu wychodził, aby swoje sprawunki załatwić. Bo wiecie, krawiec, jak to krawiec – czasem musiał do klienta pojechać, miarę wziąć, materiał w mieście kupić.

Pewnego dnia chłopina wychodzi z domu, zamyka furtkę, patrzy i oczom własnym nie wierzy: obok niego, na drodze sarenka stoi.

– Pójdź do domu. Nie możesz iść ze mną – odgania zwierzę. Ale co uszedł kilkaset metrów i odwracał głowę widział idącą za nim sarenkę.

– No dobrze. Idę dziś tylko w jedno miejsce. Jak chcesz, to chodź. Wieczorem odprowadzę cię do lasu, skąd cię zabrałem.

Cały boży dzień sarenka dreptała za swoim wybawicielem jak wierny pies, krok w krok. Ludzie dziwili się temu niecodziennemu widokowi. Podchodzili, głaskali sarnę. A ta – nauczona, że człowiek jej krzywdy nie zrobi – nie bała się ich wcale.

Nadszedł wieczór.

– No dobrze, a teraz pójdziemy do lasu, tam gdzie twój dom – wytłumaczył zwierzęciu, gdy wchodzili do boru. Uszli z pół godziny drogi, aż dotarli do odpowiedniego miejsca. Stali na pięknej polanie, kolorowej od kwiatów, pachnącej od ziół. Wokół rozpościerały się drobne zarośla, a za nimi gęstniał las.

– Zostań tu, proszę. To twój dom – wskazał palcem na okolicę i odszedł.

Wrócił do domu, przekonany, że ostatni raz widział swoją sarnę. Przez moment nawet smutno mu się zrobiło. Przywiązał się bowiem do tego stworzenia bożego. Rano wstaje, przed chatę wychodzi. Przeciera oczy ze zdziwienia.

– A co ty tu robisz?! – krzyknął, widząc jak sarna spokojnie skubie trawę. – Widzę, że jesteś bardziej uparta, niż przypuszczałem – powiedział z uśmiechem, głaskając ją po grzbiecie.

Tego dnia znów chodziła za krawcem krok w krok, tuliła się do Marty i przesiadywała przy niej w kuchni. I od tej pory powtarzało się to już co dnia. Gdy krawiec gdzieś wychodził to już wszędzie z sarenką i niebawem wszyscy w Trzciance ją znali i lubili. Gdy wracali do domu, zwierzę siadało przy Marcie.

Kiedy nadszedł kres życia bożego stworzenia, Norbert chcąc uczcić wierną przyjaciółkę rodziny, postawił na jej grobie pomnik. Sarenka wyglądała na nim jak żywa! Gdy zaś i krawiec swoich dni doczekał, figurkę sarenki postawiono na miejskiej fontannie. Z czasem zaczęto wierzyć, że każdy kto dotknie trzcianeckiej sarenki, tego – tak jak krawca – spotka wyjątkowe szczęście. A czy Wy już ją pogłaskaliście? ♦

WIELEŃ

MAZURZY WIELEŃSCY
Z PUSZCZY NOTECKIEJ

Jest takie miasto nad Notecią okolone przepastną puszczą, gdzie główna ulica z zabytkowymi kamieniczkami prowadzi wprost na urokliwe Bulwary Nadnoteckie, sąsiadujące z zielonym targowiskiem i rynkiem… Oj, mało jest takich miejsc w Polsce, gdzie most na rzece przepływającej przez środek miasta łączy dwa osiedla – Północ z Południem. To Wieleń nad Notecią.

Skąd wzięła się nazwa Wieleń? Czy w tutejszej puszczy żyło wiele jeleni? A może jednym z legendarnych przywódców był ten, który pragnął wiele sławy i z tego powodu nazwano go Wielisławem? Nie wiadomo…

Jedno jest pewne, że tu nad rzeką wszystko się zaczęło… Mieszkańcy dobrze wiedzą, że wielowiekową historię miasta opowiada płynąca rzeka, szumiące drzewa i śpiewające ptaki: o Castrum Velun – grodzie nadnoteckim, który bronił granicy państwa Polan przed pogańskimi Pomorzanami, co zapisał już w XII wieku, pierwszy polski kronikarz Gall Anonim, a także o mieście Wieleń, co potwierdzają zachowane zapisy z 1348 roku.

I choć do dziś nie odnaleziono dokumentów o nadaniu praw miejskich, mieszkańcy z radością obchodzą kolejne Jubileusze Grodu i Miasta, przyjmując pierwsze znane zapisy za początek dziejów Wielenia jako grodu pogranicza, a dalej powstania miasta.



Tu każde miejsce opowiada swoją historię. Wydeptane ścieżki, tablice, obrazy, budowle, a nawet pamiątki i zapisy przechowywane w Muzeum Ziemi Wieleńskiej potwierdzają dumę, a także rozterki Wieleniaków na przestrzeni stuleci. Jest też taka ścieżka na Bulwarach, gdzie o wieleńskich dobrach królewskich i prywatnych można dowiedzieć się dużo, dużo więcej... Te wielkie tablice z barwnymi ilustracjami opowiadają dziś długą, ale i ciekawą historię Ziemi Wieleńskiej.

Wieleniacy pozostawali lennikami króla do czasu, kiedy ten dokonał wymiany dóbr. W 1515 roku, w zamian za Pobiedziska, król oddał Wieleń biskupowi Łukaszowi II Górce. Od tamtego czasu Wieleń stał się miastem prywatnym, a mieszczanie byli poddanymi rodu Górków. Miasta prywatne stanowiły jeden z elementów feudalnego społeczeństwa, a ich mieszkańcy zobowiązani byli do dodatkowych danin na rzecz swojego właściciela. Później Wieleń przechodził kolejno w ręce: Czarnkowskich, Kostków, Wejherów, Grudzińskich, Opalińskich oraz Sapiehów.

Za rządów tych ostatnich Ziemię Wieleńską dotknęła epidemia cholery. Panoszyła się w okolicy przez ponad rok, zbierając śmiertelne żniwo. Nie było domu, w którym by ktoś nie ucierpiał. Poznikały nawet całe rodziny.

– Domy wieją pustkami. Brakuje ludzi do pracy. Nie ma kto płacić danin. Oj, ciężkie czasy nadeszły. Cóż mam począć? – biedził się Piotr Sapieha przygryzając wąsy.

Niebawem wyjechał w interesach z Wielenia. Zatrzymał się w kilku mniejszych miejscowościach. Jakie było jego zdziwienie, gdy opowiedziawszy o problemie na swoich ziemiach, miejscowi zaczęli pytać:

– Mosci panie, zycie tu ciezkie. Jusci chces dac nam prace i dach nad głowom u sebie? Łojery co to bydze? Co to bydze?

Ucieszyło to Sapiehę wielce i powziął w swojej głowie plan.

– Załatwię wszystko jak trzeba, a wy spakujcie się, zbierzcie dobytek, który chcecie ze sobą zabrać. Pojedziecie ze mną do Wielenia – rzekł stanowczo.

Tak też się stało. Piotr Sapieha dalej sprowadzał osadników, a wokół rozchodziły się wieści, że na Ziemi Wieleńskiej żyją w dostatku. Dobrzy to byli i prawi ludzie, a pracowici za dziesięciu! Jednak ich mowa była inna od tej, którą dotąd znali ci, co mieszkali nad Notecią. Kiedy takiego spotkałeś, mówił: „Dzen dobry panocku". Swoje nakrycia głowy nazywali „capkami". Korale

na szyjach ich kobiet były „cerwune", a rzepak na polach „zóty". Taką to mieli dziwną mowę, która sprawiała, że miejscowi nie zawsze mogli to pojąć. Ale jak ktoś chciał zrozumieć, to i zrozumiał – wsłuchał się, dopytał... Najpewniej z powodu tejże wymowy zaczęto o nich mówić Mazurzy Wieleńscy.

Pewnego dnia, gdy Piotr Sapieha przemierzał swoje posiadłości zwrócił się do poddanych:

– Ratusz trzeba budować. A i dla was miejsce by się godne przydało. Potrzebne drzewo znajdziecie w moich lasach.

Robota ruszała co świt. Poddani pracowali przy wypalaniu węgla drzewnego, z którego inni tworzyli smołę i dziegieć. Pozostali każdego dnia stawiali się w puszczy do wyrębu drzew. Ledwie słońce stało na niebie, a już odgłos toporów niosło leśne echo.

– Oooo – w tym dzewie ktos jest! – zawołał Maciej. – Ludze chodzta!

Patrzą i oczom nie wierzą. W pniu tęgiego dębu siedział człowiek. Zdziwił się, widząc ludzkie twarze. Dziadunio pochylony z kosturem, siwą brodą, w łachmanach wyglądał jak wyrwany ze snu...

Ludziska przypomnieli sobie krążące od pokoleń po okolicy opowieści o pustelniku mieszkającym w pniu starego dębu. Od lat jednak nikt go już nie widział, więc słuch po nim zaginął. A tu nagle takie dziwy! Był cały i zdrowy!

– A czego wy chcecie od mojego drzewa? – zapytał, widząc topory na ich ramionach.

– Pan kazał las karcowac – odpowiedzieli.

– Ratus mo byc budowany i chaty. Wyjeta z tego dzewa. Swoje lata juz mos, a za cierpinia tu znosune, miejsce w niebie zapewniune – żartowali.

– Nigdzie się nie ruszę! Będę tu, chociażby końmi wyciągali. To mój dom – rzekł dziadunio.

Namawiali go, ale trudno było przekonać starego. Drwale bali się narazić swemu panu. Wbrew woli pustelnika ścięli drzewo, jemu samemu jednak krzywdy nie wyrządzając. Starzec rzekł na odchodne:

– Niech licho pochłonie wszystkie te budowle, które z mego dębu będą zrobione! – I poszedł przed siebie. Tyle go widzieli.

Nikt się jednak gadaniem starego nie przejmował. Pustelnik podobno do końca swych dni i tak mieszkał w puszczy. Pewnie znalazł jakieś inne stare drzewo, bo takich tu na potęgę.

Drwale radzi z tego, że uniknęli problemu, chyżo zabrali się do dalszej pracy. Wkrótce wybudowano drewniany ratusz i wiele chałup. Mijały lata...

Przyszedł rok 1783. To wtedy Wieleń strawił wielki pożar. Spłonęła połowa miasta wraz z ratuszem. Przypomniano sobie wówczas o staruszku i jego klątwie. Wszyscy z pokorą odbudowywali miasto, rozpoczynając nowe życie. Jednak stara mowa przetrwała wszystkie wieki i do dziś można ją jeszcze słyszeć na Ziemi Wieleńskiej. Chociaż napisano księgi, w których niektórzy dowodzą, że żadnych Mazurów w Wieleniu nie było, a mazurzenie, czyli gwarowe sakanie, to wynik izolacji miasta pogranicza otoczonego puszczą. Niektórzy zaś wywodzą, że określenie „mazurzy" wcale nie było związane z mazurzeniem, lecz powstało od słów „mazać" lub „maź" – określeń związanych z pracą maziarzy, tj. smolarzy, których ze względu na puszczę w okolicy nie brakowało.

Mieszkańcy Ziemi Wieleńskiej jednak wiedzą swoje i z dumą wspominają historię Mazurów Wieleńskich. Pisze o nich również Oskar Kolberg, XIX-wieczny etnograf, w „Dziełach wszystkich". Określił on tam osadników z Mazur, przywiezionych na te ziemie przez księcia Sapiehę w XVIII wieku, jako Mazurów Wieleńskich, posiadających swoją odrębność kulturową i językową.

Czy to prawda, czy legenda? Któż to wie? Przyjedź do Wielenia i przekonaj się! ♦

31



WILCZYN

O POKUTUJĄCYM **WILKU**

Na pięknym, zróżnicowanym przyrodniczo terenie, tam, gdzie dziś rozciąga się Powidzki Park Krajobrazowy, ludność osiedlała się już wiele lat temu. Przyciągała ich okolica obfitująca w jeziora rynnowe o urozmaiconej linii brzegowej z malowniczo położonymi wyspami, torfowiska oraz łąki. Lasy pełne zwierzyny, jagód i grzybów zapewniały pożywienie, a zbiorniki wodne obfitość ryb. To, co wam opowiem działo się wiele lat temu. Wilczyna jeszcze wówczas nie było, ale na jego terenie znajdowała się niewielka osada. Ot, mała wioska. Liczyła może z dwustu mieszkańców. Żyli rytmem wyznaczanym przez pory roku. O wschodzie słońca rozpoczynali prace w polu, a gdy nadchodziła niedziela – świętowali.

Młodzi regularnie urządzali sobie potańcówki. Były okazją nie tylko do zabawy, ale też do zawierania nowych znajomości. Na jednej z takich zabaw doszło do pamiętnego spotkania. Gdy Kachna stanęła w drzwiach, wszystkie oczy zwrócone były tylko na nią. Strojna we wstążki i świeże kwiaty, była jeszcze piękniejsza niż zwykle. Pachniała świeżym bzem i zdawała się być cała jak kwiat, który dopiero co się rozwinął. Była córką zamożnego kupca. Za każdym razem,



gdy tatuś wracał z podróży, przywoził jej nowe szarfy i materiały, których u nich na wiosce próżno by szukać. A ona uwielbiała się stroić, gdy tylko miała ku temu okazję.

– Spójrz, co za zjawisko! – Lucek trącił łokciem kompana. – Ona musi być moja! – postanowił i ruszył do dzieła.

Śmiały i zabawny, zawsze był duszą towarzystwa. Jak porwał Kachnę do tańca, do rana wywijali. Potem były drugie tańce. I trzecie. I zaczęły się ich spotkania potajemne pod dębem.

– Lucek to nie byle jaka partia – podszeptywała Kasieńce koleżanka. – Najbogatszy panicz we wsi! Miałabyś piękne sukienki i służkę!

– Ech, ciebie to interesuje tylko bogactwo – zgasiła ją Kasieńka. – Ja lubię go za wdzięk i poczucie humoru…

Przyznać jednak trzeba, że Lucek faktycznie był świetną partią. Jego ojciec był najbogatszy we wsi..

– Nie mów, że ci się nie podoba! – podpuszczały Kasię koleżanki, a ta rumieniła się.

No bo jak mógł jej się nie podobać najprzystojniejszy kawaler w okolicy. Silny był za dwóch, a przy tym czuprynę miał piękną i takie głębokie oczy. Jak na nią patrzył, nogi się pod nią uginały. Tak, podobał się jej i ona jemu. Młodzi zakochali się w sobie. I choć niektórzy ostrzegali Kachnę, że Lucek ma fiu bździu w głowie, ona ich nie słuchała.

Wkrótce ogłoszono ich zaręczyny i datę zaślubin. Był to ostatni dzień roku. Kiedy nadszedł, śnieg sypał od rana. Zdążył już pokryć dachy i drogi. Gałęzie drzew ciężkie od białego puchu, trzeszczały i uginały się. Siarczysty mróz tak doskwierał, że kto żyw siedział w ciepłej izbie. Tylko uczestnicy orszaku ślubnego zdawali się nie zwracać uwagi na zimno. Już udekorowano izbę, naszykowano jadła, a weselny korowód przygotowywał się do drogi. Kachna stała w rozplecionym warkoczu. Druhny kończyły przygotowania panny młodej.

– Idą! – krzyknęła jedna, widząc za oknem Lucka w asyście drużbów i kapeli.

Weszli do chaty tanecznym rokiem, grając i śpiewając na całe gardła. Kasia zgodnie z dawnym zwyczajem, przypięła narzeczonemu ozdobioną wstążkami gałązkę rozmarynu. W ten sam sposób przystrojono drużbów. Jeszcze uroczyste błogosławieństwo i pożegnanie panny młodej z krewnymi, i już cały korowód pakował się na sanie.

– Do kościoła! – krzyknął woźnica. Poruszali się w huku ludzkiej wrzawy, śpiewach, salwach krzyku i ogólnej wesołości. Szykowała się uroczystość, jakiej dawno nie było. Panna młoda, mimo że okryta grubym futrem, trzęsła się z zimna. Inne niewiasty również. Mężczyźni nie chcieli dać po sobie poznać, ale nosy porobiły im się czerwone i dłonie kostniały coraz bardziej… a do kościoła był jeszcze kawał drogi.

– Zatrzymajmy się! Rozgrzejemy się troszeczkę – zdecydował pan młody.

Cała kawalkada zajechała do leśnej karczmy. Gdy wszyscy usiedli przy dzbanach ciepłego miodu, Lucek spojrzał Kachnie w oczy i oświadczył:

– Nie jestem gotowy na żeniaczkę. Tak naprawdę nigdy nie chciałem się z tobą żenić. Wszyscy nalegali i… wiesz, jak to jest. Zasługujesz na lepszego kawalera niż ja. Żegnaj.

Wybiegł szybko. Dosiadł konia i już go nie było.

– Patrzcie! Uciekł ancymon! – zawołał brat panny młodej.

– Płazem ci tego nie puszczę! – krzyknął Antek, wybiegając z izby.

– Ten łajdak podeptał nie tylko jej honor, ale dobre imię całej rodziny! – przemówił Franek do pozostałych braci, a miała ich Kasieńka pięciu.

– Zamierzam go dorwać i złoić mu skórę! – krzyknął Bartek.

– Idę z tobą! – zawołał Janek i pozostali.

– Na konie! – zawezwał Franek.

I pognali w las za niedoszłym panem młodym. Popędzali konie jak się dało, ale noc już zapadła, a śnieg wciąż sypał. Nie dość, że zimno doskwierało, to i ciemno było. Przez kilka godzin nie znaleźli go.

A że nieopodal było jezioro, które dziś zwą Wilczyńskim, uznali zgodnie, że pewnie wpadł w popłochu do wody, albo że rusałka go uwiodła, albo zielarka, co mieszka w najciemniejszych partiach gęstego boru tak strasznych, że mało kto śmie się w nie zapuszczać. Wrócili do karczmy bardzo zmęczeni.

– Żeśmy łotra nie dorwali! – oznajmili zrezygnowani.

Tymczasem Kachna osunęła się pod ławę.

– Panienko! – próbował ocucić ją karczmarz.

Ale ta nie reagowała i osuwała się coraz niżej. Matka chwyciła ją i uderzyła dłonią w blady policzek. – Kasieńko! Ocknij się! Coś z nią jest nie tak! Potrzeba medyka! Szybko! – krzyczała.

Chwilę trwało zanim w nocy felczera z chaty wyciągnęli. Futro na koszulę narzucił i w samych onucach przyszedł. Próbował budzić dziewczynę, ale ta nie reagowała. Krew upuścił, zimne okłady przykładał. Nic. Nasłuchiwał oddechu – nic nie było słychać. Goście zebrali się wokół niego śledząc w napięciu wydarzenia. Po dłuższej chwili felczer odezwał się:

– Już jej nie pomożemy. Panna młoda nie żyje.

Gdy to powiedział zapanowała grobowa cisza.

Nagle matka Kachny rzuciła się na felczera i zaczęła okładać go pięściami:

– To niemożliwe! Próbujcie dalej! – próbowała na nim wymóc.

Tymczasem matka pana młodego spąsowiała ze złości. Z zaciśniętymi pięściami wychyliła drugi już dzban miodu. Nie mogła wybaczyć swemu synowi tego, co uczynił.

– Wstyd. Hańba na całą rodzinę. Jak ja się ludziom na oczy pokażę – mruczała pod nosem i w pewnym momencie ryknęła na całe gardło:

– Bodaj byś się w dziką bestię zamienił! I wył, wył za taką sromotę! – przeklęła swojego syna.

Ludziska powiadali, że chłopak faktycznie stał się wilkiem i przez całe lata co noc wył do księżyca tak głośno, że niemowlętom spać nie dawał. I od tego wycia osadę nazwano Wilczynem. Gdzie jest ziarno prawdy w tej historii – osądźcie sami. ♦

WOLSZTYN

O CHCIWYM **DZIEDZICU**

Działo się to bardzo dawno temu. Wówczas Wolsztyn, niewielka jeszcze wioska, liczył może dwustu mieszkańców. Podobno początki Wolsztyna związane były z handlem wełną i sukiennictwem. Mieszkali w wiosce kupcy, młynarze i chłopi, a właścicielem dóbr był dziedzic Baranowski. Kupił on Wolsztyn, bo chciał się szybko wzbogacić. Był niebywale chciwy.

Pewnego wiosennego popołudnia dziedzic podsłuchał rozmowę dwóch parobków. Niedawno zatrudniony przez niego Grześ dopytywał starszego kolegi:

– Ej, Janek! A to prawda, że w tym stawie nieopodal dworu to skarb jest zakopany?

– Ludziska mówią, że żył tu kiedyś taki bogaty pan, który z dalekich wypraw naprzywoził skarbów tyle, że nie miał ich gdzie trzymać. Nie chciał też, aby inni zorientowali się jaki jest majętny. Nikomu nic nie dał, z nikim się nie dzielił i nikomu nie pozwalał swojego skarbu oglądać poza najwierniejszym chłopem – Markiem, moim pradziadem. Pewnego dnia, czując, że kres jego dni bliski i nie chcąc, aby jego złoto trafiło do biednych, nakazał Markowi całe wozy kosztowności zatopić w tym oto stawie.



– O rety! A wiesz, gdy patrzę na ten staw, to wydaje mi się, że woda jakby miała złoty kolor? To na pewno od tego złota! – podskoczył zachwycony Grzesiu.

– Głupcze, pracuj lepiej! Zapomnij o skarbie – zganił go Jan.

Gdy tylko tych dwóch odeszło, Baranowski zbliżył się do stawu i począł łypać na mętne wody. Gdy tak się wpatrywał, zdawało mu się, że coś mignęło, coś błysnęło…

– Widzę złoto! – krzyknął rozentuzjazmowany. – Jak się pięknie do mnie uśmiecha z głębin! Będę bogaty! Bogaty! Niewyobrażalnie bogaty!

Całą noc nie spał. Rozmyślał o tym co zobaczył, a potem jak owe skarby wydobyć. Nazajutrz wstał w wyśmienitym humorze, bo w głowie miał już gotowy plan.

– Waldek! – woła swojego służącego. – Znasz ty tych rybaków, co na końcu wsi mieszkają?

– Ano znam – odpowiedział chłopak.

– Jak tylko wrócą z połowów przyprowadź ich do mnie. Mam dla nich robotę.

Słońce jeszcze nisko było na niebie, jak zobaczył Waldka w towarzystwie trzech rybaków, podążających w jego stronę.

– Stawiamy się na wezwanie – przywitali się.

– Słuchajcie więc – zaczął Baranowski. – Chciałbym, abyście zrobili dla mnie sieć, ale nie taką zwykłą. Ma być ogromna. Nie mniejsza niż powierzchnia tego oto głębokiego stawu.

Wszyscy spojrzeli na zbiornik.

– Ho, ho! – rybak pokiwał głową. – Zajmie nam to trochę czasu.

Dziesięciu rybaków, dzień w dzień, splatało ogromną sieć. Po dwóch tygodniach była gotowa. Okazała się tak duża, że aby ją uciągnąć, potrzeba było dwudziestu ludzi. Wezwano rybaków z sąsiedniej wioski. Wszyscy razem ciągnęli gigantyczną sieć po jeziorze, powoli, krok za krokiem, próbując zagarnąć w nią jak najwięcej.

– Zanurzcie ją głębiej! Bliżej dna – instruował dziedzic.

Sieć robiła się coraz cięższa i cięższa.

– Musimy wyciągać, bo zaraz się zerwie – krzyknął jeden z rybaków.

I co się okazało? Była wypełniona po brzegi. Podekscytowany dziedzic czekał aż jego oczom ukażą się złote skrzynie, wisiory, klejnoty i inne kosztowności. Rozgarniał nerwowo muł. Och, ile tam było ryb wszelakiej maści: sandacze, szczupaki, leszcze, pstrągi. Rybacy nie mogli się nadziwić, ale panicz nie wyglądał na tak zadowolonego jak oni.

– Gdzie moje skarby!? Moje złoto!? Widziałem je! Widziałem! – krzyczał.

A co z rybami? Baranowski ich nie chciał. Rozdano je za darmo chłopom w obu wsiach. Czego było za dużo na bieżące potrzeby, poukładano w beczkach, zasolono i sprzedano na targu. Wieśniacy z ich sprzedaży zarobili tyle pieniędzy, że stać ich było na zakup porządnych zapasów na zimę. Dawno nie byli tak spokojni o swoją przyszłość.

Tylko dziedzic był niezadowolony z połowów i postanowił nie poddawać się tak łatwo. Wezwał do Wolsztyna dwóch nurków z Gdańska i wypłynął z nimi na środek jeziora.

– Wy tylko wybadajcie mi, gdzie te skarby dokładnie leżą, a ja już znajdę sposób, aby je sobie wydobyć – polecił, gdy na powrozach spuszczano ich pod wodę.

Wyciągnięto ich na powierzchnię czarnych od błota i szlamu. Nic nie znaleźli. Baranowski zapłacił im za wykonaną robotę, odesłał na bryczce do Gdańska i zły jak osa zamknął się we dworze. Nie spał, nie jadł. Trzy dni światło się świeciło. Ćmił fajkę i plan nowy obmyślał. Czwartego dnia wybiegł jakby się paliło.

– Zbigniew! – zawołał rządcę wsi. – Sprowadź no mi tu wszystkich chłopów. Niech każdy weźmie łopatę, a kto ma, też furmankę. W południe mają być nad stawem!

Zbigniew był nieco zaskoczony, jednak prośbę wykonał. Wszyscy stawili się przy jeziorze, a Baranowski zaczął rozkazywać:

– Wy skopcie groblę! Ma zniknąć! – wskazał na chłopów stojących po jego lewej stronie. – A wy zacznijcie kopać głębokie rowy, przez które spuścimy wodę ze stawu – wskazał na tych po prawej.

– Panie, ale w ten sposób zniszczysz jezioro. Ono nas żywi. Dla wielu rodzin ryby są podstawowym pokarmem – zasugerował nieśmiało Zbigniew.

– Nie marudź mi tam, tylko pracuj! – rozkazał dziedzic. – Na dnie leży skarb. Jak go znajdziemy, nikomu, kto tu pracuje, niczego brakować nie będzie.

Wszyscy wieśniacy pracowali kilka dni od świtu do zmierzchu. Gdy już cała woda spłynęła na łąki i oczom robotników ukazało się pokryte czarną mazią dno jeziora, zawołano Baranowskiego, aby zdecydował, co dalej.

– Załadować błoto na furmanki i wywieźć w pole! – rozkazał.

– W mule są jeszcze ryby. Co mamy z nimi zrobić? – pytali chłopi.

– A weźcie je sobie! – burknął niezadowolony z faktu, że nadal nie widać złota.

Po kilku godzinach kopania i wywożenia błota na środku jeziora odkopano wielgachny głaz. Ogromny był niczym jakiś meteoryt. Potężny tak, że we dworskie wrota by się nie zmieścił. Baranowski już pięści z podekscytowania zaciskał.

– Na pewno pod nim jest mój skarb! W końcu cię znalazłem! Udało się! – cieszył się niezmiernie.

Gdy chłopi oczyszczali głaz ze szlamu, dziedzic podszedł bliżej i zaczął czytać wyryty na kamieniu napis: „Jeśli masz Boga w sercu – obróć mnie!". Okazało się, że wcale nie było to takie łatwe. Włożono podeń grube łańcuchy, zaprzęgnięto dziesięć par koni i głaz przewrócono. Ale co to?! Ku zaskoczeniu zebranych, na odsłoniętym boku widniał drugi napis. Dziedzic zaczął czytać: „Dziękuję ci, żeś mnie odwrócił. Sto lat tu spoczywam i boki sobie mocno odleżałem".

Wiecie co się działo, gdy chłopi to usłyszeli? Rechotali ze śmiechu. Niektórzy aż padli na ziemię i w błocie tarzać się zaczęli. Jedynie dziedzic nie był w nastroju do żartów. Gdy wszyscy się rozeszli, sam chwycił za łopatę i długo jeszcze przekopywał szlam. Żadnego skarbu jednak nie znalazł. Zły jak osa, zrezygnowany i zawiedziony, wezwał rządcę, któremu rozkazał:

– Opłać robotników i źle mnie nie pamiętajcie.

Zaraz po tym wyjechał do miasta. Kiedy okazało się, że już nie wróci, jego grunty rozprzedano pomiędzy chłopów.

Wiele lat później, gdy odnaleziono dawne kroniki dworskie, wyczytano w nich, że mieszkał kiedyś we dworze dziedzic Filip Wolsztyński – stary kawaler i figlarz jakich mało. I ponoć całą tę historię ze skarbem on wymyślił. ♦



WRONKI

O ZAŁOŻENIU **WRONEK**

Początki tego pięknego i prężnie rozwijającego się miasta owiewa pewna tajemnica. Otóż byli tu kiedyś osadnicy. Nad brzegiem Warty zostawili po sobie groty strzał. Działo się to 8 tysięcy lat p.n.e. Co się potem z nimi stało? Założyli gród, czy emigrowali w poszukiwaniu nowych siedlisk? Kto to wie… Na jakiś czas słuch o nich zaginął.

O kolejnych lokatorach tychże ziem dowiadujemy się wiele lat później. Gdzieś w mrokach średniowiecza, w pierwszym tysiącleciu wyjątkowo radośnie i wesoło tu było. I był zamek. Duży. Gdy padały nań promienie słońca, mienił się żółcią, złotem i czerwienią – mówiono o nim „kolorowy zamek". Stał tuż nad rzeką Wartą. Pięć wież było na szczycie, a na każdej gniazdo. Na każdym z gniazd siedziała czarna wrona. Gdy tylko słońce rozpoczynało swą wędrówkę po nieboskłonie, wrony budziły się i zaczynały rozdzierać dzioby. Krakały co sił. Hałasu robiły co niemiara. I, jak się pewnie domyślacie, budziły rycerską rodzinę oraz wszystkich innych mieszkańców zamku. Co bardziej dowcipni włościanie mówili o twierdzy, że cała wygląda jak olbrzymie ptasie gniazdo.

Włodarzem tam był Warcisław herbu Wrona – rycerz w latach posunięty, ale najodważniejszy z odważnych. Zamieszkiwał on zamczysko wraz z ukochaną córką Dąbrówką oraz służbą. Rodzina



bardzo się kochała. Córka często mówiła do ojca pieszczotliwie „tatku" albo „Wronko". To drugie określenie podchwycili poddani, którzy również zaczęli go tak nazywać.

Matka Dąbrówki zmarła wiele lat temu. Wronko sam wychował córkę na mądrą i piękną kobietę. Nawet w dalekich stronach mówiono o niej, że piękna jest jak poranna rosa, jej oczy jak szmaragdy, a lica jak płatki róży. Nic dziwnego, że wielu przystojnych i bogatych mężczyzn starało się o jej rękę. Ale oczekiwaniom Wronki żaden kawaler nie mógł sprostać. Ten za głupi, tamten niezdarny, jeszcze inny nieokrzesany. A że i samej Dąbrówce nie spieszno było do zamążpójścia, kolejni kandydaci wracali do domów z kwitkiem.

Pewnego dnia, z samego rana, ktoś do bram zamku się dobijał. Warcisław rzekł do służącego:

– Idźcie no sprawdzić, któż tak łomocze!

– To Jarogniew, jaśnie panie. Z tobą chce mówić – oznajmił zdyszany sługa.

„Czegóż tu ten okrutnik szuka?", zastanawiał się Warcisław, schodząc do bramy.

Jarogniew rycerzem był co prawda odważnym, ale opinię miał wielce niepochlebną. Miodu pił dużo, a gdy przesadził – co w zasadzie było u niego regułą – wszczynał bójki. Nie raz cudze mienie zniszczył i niejednemu kompanowi kulasy powykręcał. Z jakiego powodu? Ot, dla zabawy. Kto mógł, trzymał się odeń z daleka. Jarogniew gniewny bowiem był za dziesięciu.

Gdy tylko Warcisław do kraty doszedł, Jarogniew skoczył do niego:

– Po córkę twoją przybyłem. Daj mi ją za żonę!

– Tobie? – zaśmiał się tubalnie ojciec. – Musiałbym rodzonego dziecka nie kochać, aby dać je komuś takiemu, jak ty. W życiu jej nie dostaniesz!

– Bez niej na krok się nie ruszę! Pożałujesz tego! Pożałujesz! – krzyczał Jarogniew, gdy straż zamkowa siłą wyprowadzała go za mury.

Upokorzony i rozjuszony obiecał sobie, że zdobędzie Dąbrówkę za wszelką cenę, nawet jeśli będzie musiał użyć podstępu.

Kilka tygodni później, gdy nikt niczego się nie spodziewał, gniewny rycerz zakradł się pod mury zamku i wzniecił pożar. Na dziedzińcu sporo słomy leżało. Ogień błyskawicznie objął wszystkie zabudowania. Warcisław zginął, wynosząc córkę z płonącej komnaty. Jarogniew uradował się wielce, widząc, że jego wróg skonał.

– Szczęście mi dziś sprzyja – wycedził przez zęby Jarogniew, pochwycił nieprzytomną Dąbrówkę i uprowadził do swojej twierdzy.

Osierocona dziewczyna wpadła w rozpacz. Po wielokroć próbowała się uwolnić, ale za każdym razem okrutny rycerz jej to udaremniał. Zrozpaczona postanowiła:

– Pozbędę się nikczemnika!

I podała mu do picia napój wielce trujący. Wypił połowę i widząc, co się z nim dzieje, ostatnimi siłami zmusił Dąbrówkę, by skosztowała trunku. To wystarczyło. Oboje zasnęli na wieki. Z pożaru na zamku Warcisława ocalał tylko jeden, oddany dworzanin, który postanowił zbudować osadę i nazwać ją na cześć swego pana – Wronki. Siłami okolicznej ludności powstał gród, później miasteczko. Wronki stale rozwijały się i gdy w 1279 roku można było o nich przeczytać w księgach, były już miastem nad Wartą, na skraju olśniewającej przyrodą Puszczy Noteckiej. Dziś Wronki łączą w sobie tradycję z nowoczesnością i zapraszają wszystkich do odkrycia ich wyjątkowej historii i folkloru. ♦

34

O TYM JAK ŚW. WAWRZYNIEC **ZATRZYMAŁ POŻAR**

Historia, którą poznacie wydarzyła się dawno temu. Jak dawno, nikt tego nie wie. Niedużą miejscowość Samołęż, położoną cztery kilometry na południowy wschód od Wronek, zwano jeszcze wtedy Samolese. Były to dobra klasztoru cysterek.



– I jeszcze to słońce! – wyszeptała Boguchna, starła chustą pot z czoła i wróciła do plewienia ogródka. Roboty miała dużo. Tu komosy cała grządka, tam osty... Końca nie widać. A słońce grzało niemiłosiernie. Co rusz zerkała czujnym okiem matki, czy biegające przed chatą dzieci nie wpakowały się w jakie tarapaty. Wszystko było w porządku. Razem ze swym ojcem, Chwalibogiem nosiły do obory kubeczki wody.

„Dobry pomysł. Niech napoją zwierzęta. Im przecie też gorąco doskwiera", pomyślała. Wstała i wyprostował zmęczone plecy. Z daleka usłyszała odgłos łamanych gałęzi.

– E, to pewnie wóz jedzie – powiedziała półgłosem sama do siebie i wróciła do pracy.

Tymczasem na przeciwnym końcu wioski nie było już tak spokojnie.

– Ogień! Pali się! – krzyczeli ludzie.

Pospiesznie wybiegali z chat, wyprowadzali starszych, wynosili małe dzieci.

– Moje krowy! – krzyknął ktoś.

Kto inny rzucił się na ratunek zwierzętom. Przestraszone wyprowadzano z obór i próbowano przywiązać w bezpiecznej odległości. Połowa trzody zdążyła już spłoszyć się i rozbiec po pobliskich łąkach. Z izb wynoszono co się dało. Wpierw żywność, ubrania, potem kołdry, garnki, krzesła. Kto miał wóz, pakował nań co mu w ręce wpadło, bo w pośpiechu trudno ocenić, co z dobytku najbardziej przydać się może.

Płomienie szalały. Zabójczym gorącym płaszczem pokrywały stodoły, niszczyły płoty i sięgały aż po dachy domostw.

Chata Boguchny, stojąca na uboczu, w sporym oddaleniu od całej tej tragedii, była póki co bezpieczna. Dopiero gdy Maciejowa dobiegła do niej krzycząc: „Pomóżta ludzie!". Boguchna odwróciła i zdębiała. Zobaczyła coś, w co trudno było uwierzyć. Płomienie jak brzozy były wysokie. Przeraziła się. W swoim życiu przeżyła już jeden pożar. Była wówczas jeszcze mała. Ogień zabrał jej rodzinie dom i wszystkie zapasy żywności, a tatko rany po oparzeniach całe miesiące leczył, bo przecie próbował ratować co się dało. Bolesne wspomnienia wróciły teraz z podwójną mocą. Na szczęście po chwili Bogna ocknęła się i zawołała:

– Nic nam nie będzie! Chwalibóg, zabierz dzieci w bezpieczne miejsce, a potem pomóż innym.

Sama natomiast jak błyskawica wpadła do domu, zdjęła ze ściany obraz świętego Wawrzyńca i pobiegła z nim pod pachą:

– Maciejowo, zobaczcie! To patron ubogich, niejedną wieś przed pożarem uchronił. Módlmy się! – poleciła. – Błagajmy, a dobry Bóg pomocy nie odmówi. Uratuje nas za pośrednictwem tego świętego.

Wzięły obraz i popędziły zbierać pozostałych, każdego do modlitwy nawołując.

– To nasza jedyna nadzieja! Módlcie się ludzie! – woła Boguchna.

Postawiła obraz na ziemi i by dać przykład, padła na kolana. A że kobieta to była dobra i posłuch we wsi miała jako ta, której Bóg zawsze dopomaga, klękały obok niej baby jedna po drugiej i modły odprawiały.

Wtem wiatr dmuchnął straszliwy. Piasek na ziemi kotłować się zaczął. Ogromne tumany kurzu wzniosły się w powietrze i uderzyły wprost w ogień, jakby kto niewidzialną łopatą walił. Piach wdzierał się wszędzie, więc ludziska oczy pozakrywali, powieki zaciskając z całej siły. Kto miał chustę, szybko zamotał się nią cały. Tylko najodważniejsi ukradkiem śledzili, co się dzieje. Z każdym podmuchem wiatru pożar malał i coraz bardziej wycofywał się z wiejskich zabudowań. Chmury zebrały się ciemne, deszczowe. Ulewa lunęła jak z cebra, gasząc wszystko, czego nie zdołał przepędzić wiatr. Przemoczeni mieszkańcy wsi Bogu dziękowali. Wioska była ocalona!

Na pamiątkę tych wydarzeń, a także w geście dziękczynienia, na środku Samołęża wzniesiono kapliczkę z figurą świętego Wawrzyńca. Znajdziecie ją w miejscu skrzyżowania trzech dróg, gdzie zobaczycie również trzy domy, stojące blisko kapliczki. Jak mówi legenda są to chaty, które ocalały przed pamiętnym pożarem.

Tak, jak niegdyś mieszkańcy niedużej wsi Samołęż zaskoczyli pożar, tak dziś gmina Wronki może bardzo cię zaskoczyć. A czym? Olśniewającą przyrodą, technologiami na światowym poziomie, wysoko rozwiniętym przemysłem, a przede wszystkim swoją gościnnością. ♦

35

WYSOKA

O POWSTANIU **WYSOKIEJ**

– Dziś chciałbym poznać te zakątki moich włości, gdzie nigdym jeszcze nie był – oznajmił książę wielkopolski Bolesław Pobożny swemu podkomorzemu Mikołajowi. – Może byś mi je pokazał? Wiesz, że chciałbym, aby tamtejsze ludy bliżej z nami były zjednoczone. I chciałbym, abyś mi w tym pomógł. Przygotuj proszę mnie i siebie do podróży.

Książę Bolesław z podkomorzym zebrali zastęp wojów, wsiedli na konie i wyruszyli.

– Patrzaj – powiedział zachwycony widokami książę. – Ziemie te doprawdy są piękne i żyzne. Nie tylko lasy mamy tu pełne saren, dzików i lisów. Te łany zbóż ciągną się daleko. Widzieliśmy jeziora, a na łąkach gniazdowały liczne ptaki.

Przemierzyli bory i bagna, które od piastowskiej wielkopolski oddzielała rzeka Noteć.

– Szczęśliwy, kto zamieszkuje tak malowniczy, pagórkowaty teren – oznajmił władca.

– A bo ja wiem – rzucił mu podkomorzy. – Dużo tu jest osad, ale słyszałem, że plemiona tutejsze niecywilizowane są. W bogów pogańskich wierzą, obyczaje chowają pradawne.



Gawędząc tak, zajechali w okolice gór, zwanych Wysokimi. W tej chwili ludzie jacyś w skóry odziani wybiegli im naprzeciw. Każdy oszczep w ręku dzierżył. Na przyjacielskie powitanie to nie wyglądało.

– Pogańskie ludy, nie obawiajcie się! – zakrzyknął głośno Bolesław. – Jam jest prawowitym władcą tej ziemi. Krzywdy wam nie zrobię. Jeno poznać bliżej pragnę i bardziej się z wami zjednoczyć.

Na te słowa na czoło wysunął się człowiek okazalej ubrany niż pozostali, powszechnym szacunkiem widać otoczony.

– Zwą mnie Sławko – powiedział. – I to ja rządzę tymi plemionami.

– Nikt ciebie od władzy odsuwać nie zamierza. Postuluję tylko, abyś przyjął pomoc mego podkomorzego Mikołaja. On przekaże wam wiedzę, którą i my posiadamy. Użyteczna ona i sprawi, że łatwiej się wam będzie żyło.

Nikt nie lubi obcych na swej ziemi, dlatego domyślić się można, że lud ów również niezbyt przychylnie nastawiony był do propozycji księcia.

– O tobie, książę, żeśmy słyszeli, ale o nim? – zaśmiał się Mir, pierworodny syn Sławka.

– Własnym słowem za tego człowieka ręczę – odparł Bolesław. – Ale jeśli jaką krzywdę mu uczynicie, ze mną do czynienia mieć będziecie!

Nastąpiła chwila ciszy. Mikołaj Przedpełkowic z roku Łodziów zsiadł z konia.

– Czyńcie, co do was należy, Mikołaju. Z Bogiem – powiedział książę Bolesław, zostawiając jednego ze swoich najlepszych ludzi. Sam wraz z wojami odjechał.

Zabrali Mikołaja do wioski, a ten, aby zbyt wiele czasu z tubylcami nie spędzać, natychmiast chciał wprowadzać reformy swoje.

– Zburzcie swoje stare chaty. Pokażę wam, jak macie lepsze, solidniejsze postawić – zaczął.

– Mikołaju – wstrzymał go Sławko. – Przyszedłeś z daleka, jakim prawem chcesz nam rozkazywać i mówić, co robić mamy? Pierwej poznaj nas nieco. Chcesz wiedzieć jak witamy przybyszów, którzy naszych zwyczajów respektować nie chcą?

Wzburzony Sławko rozkazał swoim synom: Mirowi, Wojemiłowi i Świeciechowi przywiązać Mikołaja do drzewa. Gdy wieczorem zorganizowano ucztę, najmłodszy syn Sławka, Świeciech, podszedł do przybysza wyznając:

– Wcale nie podobają mi się zwyczaje ojca i braci, ale muszę być im posłuszny.

– Wręcz przeciwnie! – zaprotestował Mikołaj. – Masz uczciwe serce i jego słuchaj. Dobrze ci podpowiada. Pomóż mi w wykonaniu mojego planu, a rodzina sama przekona się o tym, że jesteś mądry. Świeciech nazbierał specjalnych ziół. Zmielone dosypał biesiadnikom do kielichów, gdy ci zebrali się wokół posągu boga ognia Swarożyca, by oddać mu pokłon.

Gdy tylko tubylcy wychylili kielichy, padli jak kłody. Mikołaj ze Świeciechem powędrowali tymczasem do pobliskiej osady Wyrza. Namówili tamtejszych ludzi, aby wraz z nimi zbudowali w Wysokiej nową osadę – naoczny znak nowoczesności.

Mieszkańcy Wysokiej pod wpływem ziół trzy doby spali jak zabici. W tym czasie wokół otoczonej bagnem osady stanął drewniano-ziemny wał obronny z bramą wjazdową. Nowe, drewniane chaty rozdzielały usypane z piasku ścieżki. Aż miło było na to popatrzeć! A nad wszystkim górowała kamienna wieża. Przez cały ten czas lud, któremu przewodził Sławko, leżał pogrążony w głębokim śnie.

Gdy Sławko obudził się, nie dowierzał, że nadal jest we własnej osadzie.

– Chaty solidne! A ta wieża jaka wysoka! – kiwał głową z aprobatą, podziwiając nowe budowle.

Mikołaj nie omieszkał podkreślić:

– To prezent ode mnie i od naszego księcia. Czy teraz skłonny jesteś przyjąć niektóre z naszych rozwiązań? – zapytał wodza.

– Nie wiem jakiego masz Boga, ale potężny być musi, skoro pomógł ci w trzy dni postawić nową osadę. Niech twój Bóg stanie się moim, a twoje rozwiązania moimi. I przepraszam za nasz początkowy brak gościnności. Lud mój to dobrzy ludzie. Przekonasz się o tym niebawem – zapewnił Mikołaja.

– Mnie również dobrzy ludzie dopomogli i twój brat Świeciech. Powinieneś bardziej słuchać go w sprawach władzy, bo umysł ma bystry.

Od tego czasu całe plemię stało się bardzo gościnne i uczynne. Ochoczo wprowadziło się do nowej osady, której nadano nazwę Visoka. Świeciech został doradcą Sławka, który konsultował z nim teraz każdą ważną decyzję.

Kilka miesięcy później zawitał do nich biskup Marcin. Wszyscy mieszkańcy jak jeden mąż, przyjęli chrzest oraz nowe imiona. Sławko na cześć świętego Stanisława stał się Stanisławem,

Mir – Michałem, Wojemił – Walentym, a Świeciech – Wojciechem, na cześć świętego, którego szczątki spoczywają w Gnieźnie. Podwładni Sławka, a raczej Stanisława również przybrali nowe imiona chrześcijańskie.

Mikołajowi dobrze się z tym ludem żyło, choć nigdy by siebie o to nie podejrzewał. Zabawił u nich jeszcze kilka lat, po czym oznajmił Stanisławowi:

– Od tej pory tobie powierzam Visoką.

I zdjąwszy krzyż z łodzią wyrytą na rewersie, symbolem jego rodu, zawiesił go na szyi Stanisława.

– Proszę, zrób wszystko, by to miejsce zawsze było znane z gościnności, tak, jak jest teraz – powiedział Mikołaj i odjechał. Prawdopodobnie wrócił do Poznania.

Po Mikołaju do miejscowości Visoka zawitało jeszcze wielu przybyszy. Każdy z nich, jeśli tylko pokojowe miał zamiary, zostawał przyjęty był z otwartymi rękoma. Wieść o tutejszej gościnności szybko rozeszła się po okolicy, skutkiem czego przybywało tu coraz więcej osób – handlarzy, rzemieślników, przeróżnych artystów oraz zwykłych przejezdnych. Osada szybko rozrosła się i przerodziła w miasto o nazwie Wysoka. Ludzie przenieśli się w okolice Gór Wysokich i tam żyją po dziś dzień. A żeby wszyscy po wsze czasy o tutejszej gościnności pamiętali, herbem Wysokiej została otwarta brama.

W XV wieku Wysoka była już prywatnym miastem szlacheckim. Jak to dawniej bywało, co jakiś czas zmieniali się właściciele, ale jedna rzecz pozostała niezmienna – gościnność. Doświadczycie jej również obecnie, gdy tylko zawitacie do Wysokiej. ♦

teksty | Aleksandra Adamkiewicz, legenda na stronie: 4 | Henryk Brodziak, legenda na stronie 61 | Karol Dziamara, legenda na stronie 162 | Krystyna Heppner, legenda na stronie 140 | Joanna Kiszkis, legendy na stronach: 39, 68 | Marianna Matuszewska, legenda na stronie 116 | Marta Sobierajska, legenda na stronie 65 | Krystyna Truszczyńska, legendy na stronach: 8, 12, 17, 21, 27, 32, 44, 50, 55, 72, 77, 82, 87, 92, 97, 101, 105, 109, 112, 121, 125, 130, 135, 140, 145, 150, 155, 158

ilustracje | Tomasz Ściolny

koncepcja wydawnicza | Antoni Bochen
redakcja | Joanna Walentowska
skład DTP | Dyrta

wydawca | QUIXI MEDIA Sp. z o.o.
adres | 85-782 Bydgoszcz, ul. Matejki 1a
kontakt | tel. 52 551 37 66, quiximedia@gmail.com

ISBN 978-83-61840-39-8








Urząd Gminy i Miasta Odolanów
63-430 Odolanów, Rynek 11
tel. 62 733 15 81 fax 62 733 38 92
sekretariat@odolanow.pl
www.odolanow.pl